Nr. 64. Lwów, Niedziela dnia 17. Listopada 1878 r. **Tom VII.**

TYGODNIK

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

O ZASYPIANIU I BUDZENIU SIĘ

przez

JULJANA OCHOROWICZA.

Czy też myślałeś kiedy czytelniku, że przyłożywszy głowę do poduszki i zapominając w słodkiem *far niente* o dolegliwościach codziennego życia, stajesz się sam dla siebie jedną z najciekawszych zagadek, że przesuwając się duchowo przez granicę, która dzieli sen od czuwania, stajesz tem samem u wrót tajemnicy wszechświata: w obec przemiany bytu *świadomego* w *bezwiedny?*

Jeżeli nie myślałeś, to pozwól, że ci tę myśl nasunę — jeżeliś myślał, to rozważymy ją wspólnie.

Cóż może silniej podziwienie nasze wzbudzać w tej bezgranicznej maszynie wszechświata, jeżeli nie ów kwiat istnienia, owo światło, które organizmy wyższe wniosły w pomrokę materyalnego bytu, a które nazywamy *świadomością?* Objaśnić w jaki sposób byt bezwiedny, wydaje z siebie tę władzę i jak świadomość ze swej strony ustępować może miejsca bezwiedzy — byłoby to zrozumieć rzecz najtrudniejszą do zrozumienia, pogodzić dwie rzeczy najtrudniejsze do pogodzenia — dwa światy zlać w jeden.

Od wieków kuszono się o to napróżno, a tymczasem fakt sam codziennie spełnia się w naszych oczach: ludzie zasypiają jak zasypiali, budzą się jak się budzili i nawet mało kto myśli o tem, że to co jest tak trudnem do złączenia w teoryi, w rzeczywistości łączy się tak często i tak łatwo! Cóż bowiem łatwiejszego jak zasnąć i cóż łatwiejszego, jak zasnąwszy, przebudzić się? Jedna chwila krótsza lub dłuższa streszcza w sobie siłę przyrody i niemoc nauki.

Nie mamy miecza Aleksandra dla rozcięcia gordyjskiego węzła tej chwili. Ale też nauka nie jest na to, aby rozcinała —, ona rozplątuje. I przyroda nie wydaje świadomości jednem tchnieniem cudownem; zwierzę lub dziecko zwolna tylko przychodzi do rozpoznania zarysów i treści otoczenia, do odbicia ich w sobie i przeciwstawienia samemu sobie. Nauka tembardziej zwolna postępować musi. Ona stopniowo rozpatruje szczegóły zjawiska, coraz dokładniej je wyznacza, *opisuje*, a z drugiej strony równie zwolna i stopniowo poznaje warunki jego przejawu, to znaczy, *dochodzi przyczyn.* W nauce, która zna względną swą siłę, nie przecenia jej, ale też nie lekceważy, dochodzenie *warunków przejawu* jest w istocie dochodzeniem *przyczyn.* Może to się komu wydać celem zbyt skromnym dla filozofii, może się wydać zbyt ograniczonem, niezupełnem pojęciem *przyczyny*, jako ostatecznej racyi bytu, ale co do mnie twierdzę stanowczo, że gdybyśmy zdołali wykazać wszystkie warunki, przy których powstaje świadomość i wszystkie przy których ginie, mielibyśmy tem samem całą, możliwą do osiągnięcia wiedzę o istocie zjawiska świadomości.*)

Zasypianie i budzenie się są tylko jednym szczegółowym przypadkiem przejścia od świadomości do bezwiedzy i naodwrót. Inne dotyczą powstania świadomości w rozwoju istot, powstania jej w rozwijającym się organizmie jednostki, w pojedyńczych aktach ujmowania wrażeń i odtwarzania wyobrażeń — w powstaniu samowiedzy i wreszcie w jej starciu ze śmiercią. To też nie myślę tu wyczerpywać kwestyi. Poprzestanę na rozbiorze momentów wskazanych w tytule, a ponieważ poznanie uważam za podwójne, jako opisowe i przyczynowe, jako poznanie cech z jednej i warunków przejawu z drugiej strony, więc też i nasza rozprawka rozpadnie się na te działy. Nadto ponieważ i zasypianie i budzenie się mogą być naturalne lub stuczne, cały więc temat naszego szkicu przedstawi się jak następuje:

I. Zasypianie
- naturalne { cechy / przyczyny
- sztuczne { cechy / przyczyny

*) Z tą myślą przewodnią napisana jest rozprawa niemiecka autora: *„Bedingungen des Bewusstwerdens.“ Leipzig 1874.*

II. Budzenie się
- naturalne { cechy / przyczyny
- sztuczne { cechy / przyczyny

Sen każdy jest zjawiskiem podwójnem, psychologicznem i fizyologicznem. I myśl zasypia i ciało. Ale nie wszystkie składniki ciała w równej mierze; kości, chrząstki i utwory rogowe zdają się nawet wcale nie ulegać zjawiskom snu; narządy pokarmowe, serce i płuca, pracować nie przestają, ulegają tylko lekkim zmianom; pierwsze o ile się zdaje działają nawet silniej niż na jawie, puls staje się słabszym, ale równiejszym, oddechy powolniejsze ale głębsze. Mięśnie od woli zależące zasypiają najsilniej, siła powszechnego ciążenia bierze w nich górę nad siłą własnej kurczliwości. Po nich, największym zmianom ulega system nerwowy, ale bynajmniej nie jednostajnym w różnych swych częściach. W śnie normalnym, o którym obecnie mówimy, zwoje nerwu sympatycznego, zarządzające sprawami tak zwanego roślinnego życia, nie zasypiają wcale, mlecz pacierzowy nie kompletnie, móżdżek prawie zupełnie, a półkule mózgu wielkiego niekiedy tylko, chwilowo i częściowo zachowują jeszcze pewną działalność. W śnie zaś głębokim śpią zupełnie, względnie nawet głębiej niż mięśnie; te ostatnie bowiem można jeszcze silnemi bodźcami przez pośrednictwo mlecza do kurczów pobudzić, mózg zaś pozostaje martwym i nawet działaniu silnych bodźców opór stawia.

Co się tyczy nerwów, to te zasypiają w różnym stopniu, dotykowe słabiej, inne znacznie głębiej. To też nie mogąc kogoś obudzić światłem lub głosem, budzimy go wstrząśnieniem ramienia.

Wzrok zdaje się zasypiać najpierwszy. Mięśnie powiek prędzej jeszcze niż inne mięśnie dowolne stają się ociężałe i dały powód do wyrażenia, że sen „spada na oczy“. Mięśnie gałek ocznych również słabną, mianowicie zaś te, które oko zwracają ku dołowi, wskutek czego oczy drgając, wznoszą się ku górze, jednocześnie z opa-

daniem powiek. Zrenice podniesione i zwężone patrzą martwo, bez zachowania prawidłowego przecinania się osi ocznych; mówimy wówczas, że nam się dwoi w oczach, a każdy kto nas obserwuje, odróżni łatwo *zaspany* wyraz naszych oczu od każdego innego ich wyrazu. W miarę usypiania mięśni ocznych ginie władza oceniania odległości, przedmioty mięszają się przed nami, chcąc sięgnąć po nie, sięgamy niedokładnie. Potem słabnie poczucie dla kolorów, potem i dla światła w ogóle. Jednocześnie mięsień karkowy, który głowę utrzymuje sztywno, zaczyna niedopisywać i od czasu do czasu rozluźnia swe włókna tak, że czaszka własnym ciężarem kiwając się opada, coraz to niższe i luźniejsze zakreślając linie, to w bok to przed siebie. Gdy takie pochylenie stanie się niezwykłem, czucie mięśniowe zawiadamia mózg, i jeszcze budzi na chwilę usypiający mięsień; głowa podnosi się jeszcze raz i drugi, mięsień karkowy robi ostatnie wysilenia, ażeby być posłusznym mózgowi, wreszcie daje za wygranę i puszcza głowę na piersi.

Wtedy zwykle zjawiają się pierwsze wewnętrzne zwiastuny zasypiania, mianowicie zimne dreszcze, które zrazu działają pobudzająco, potem obojętnieją. W mięśniach rąk i nóg uczuwamy ten sam nacisk bezwładu co w głowie. Charakter tych wrażeń wewnętrznych jest niesłychanie ciekawym z powodu swej zmienności — są chwile w których przeważa przyjemne uczucie spokoju, jakiegoś błogiego omdlewania, w innych, w tych mianowicie w których występują jakieś bodźce nieproszone, czy to z zewnątrz czy z wewnątrz, uczuwamy przykrą zaporę w mięśniach, rodzaj nacisku, przemocy, duszenia. Te dwa różne uczucia ciągle ważą się ze sobą, a chwilami giną obydwa.

Zmysły, których czynność wymaga współudziału mięśni, zasypiają pierwej od innych, a więc po wzroku lub współcześnie z nim smak. Po smaku powonienie, potem słuch a na końcu bierna wrażliwość dotykowa, bo czynna zasnęła już pierwej, wraz z czuciem mięśniowem. Położenie własnego ciała staje się wskutek tego nierozeznawalnem i nieraz nawet przed zupełnem zaśnięciem wyobrażamy sobie sami siebie w położeniu całkiem innem, niż istotne; nawet rozbudziwszy się, ale nie poruszając ciała, jeśli zadamy sobie pytanie, jakie położenie zajmuje obecnie ręka lub noga, znajdujemy ogromną trudność w oznaczeniu go przez czucie, bez wykonania próbnego ruchu. Dzieje się też, że oparcie ręki lub nogi o przedmiot twardy i nacisk przez ciało wywierany przyprawiają nas o sińce, które dopiero później spostrzegamy, bólu wcale nie czując. Tak dalece nieruchomość członków osłabia ich czucie.

Słuch zasypia w sposób bardzo oryginalny, a mianowicie spazmatycznie. Nie przytępia się on stopniowo, ale zasypia i znów się budzi, przyczem przebudzeniu każdemu towarzyszy nawet wzmocnienie szmerów i nadanie im pewnej charakterystycznej rozległości. Obserwować to najlepiej, słuchając głośnego czytania, gdy nas drzemka ogarnia. Głos czytającego chwilowo ginie, potem nagle staje się dziwnie szerokim, falistym — nie umiem znaleść odpowiedniejszej nazwy na to wrażenie — nareszcie przerwy słuchowe stają się dłuższe i zasypiamy zupełnie.

Ale trafia się także — jeżeli słuchaliśmy z zajęciem będąc zmęczonemi bardziej niż zwykle — że słuch *nie zasypia wcale w zakresie wrażeń w dalszym ciągu odbieranych*, ale zasypia odnośnie do wszystkich innych, a wszystkie inne zmysły śpią już całkowicie. Oto spostrzeżenie, które należy do najrzadszych w psychologii:

Czytałem głośno książkę. Towarzysz mój leżał słuchając. Treść książki obudzała co chwila zobopólne uwagi, które wypowiadaliśmy głośno: naraz jednakże, mimo, że ustęp zawierał myśl nową i śmiałą, nie słysząc żadnej uwagi towarzysza, spojrzałem na niego. Oczy mu się zamknęły, głowa opadała. Nie zważając na to czytam dalej ażeby skończyć ustęp. W tej chwili usłyszałem chrapanie, które się tylko w głębokim śnie przejawia.

— Ależ ty spisz w najlepsze! — zawołałem po chwili głosem, którego ton był inny niż przy czytaniu.

Nic nie odpowiedział. Powtórzyłem głośniej wyraz oburzenia, że czytam napróżno — jeszcze nic, nareszcie silne wołanie po imieniu obudziło go, drgnął i spytał:

— Czego chcesz?

— Jakto czego chcę? Wszakże ty od pięciu minut śpisz jak zabity!

— Gdzieżtam, nie śpię.

— I słyszałeś wszystko?

— Doskonale.

I na dowód powtórzył mi nietylko ostatnie wyrazy dosłownie, ale i treść całego ustępu w sposób zupełnie dokładny. Nie było zaś najmniejszej wątpliwości że przez cały czas słuchania tego ustępu spał a nawet pod koniec chrapał.

— A słyszałeś, jakem narzekał na ciebie, że śpisz?

— Nie.

— Usłyszałeś więc dopiero gdym głośniej zawołał po imieniu?

— Nic a nic o tem nie wiem.

Mamy tu więc ciekawy przykład czuwania przez rozpęd w jednym kierunku, obok zupełnego uśpienia we wszystkich innych, łaskawy czytelnik zechce sobie ten fakt przypomnieć, gdy będziemy mówili o zasypianiu sonambulicznem. Tymczasem zaś wyprowadzimy z niego tylko taki wniosek, że podobnie jak niejedna babka zasypia robiąc dalej pończochę, tak też człowiek przywykły do pracy umysłowej i mający wprawę w skupianiu uwagi przy słuchaniu mowy, może słuchać dalej, zasnąwszy.

Zobaczmy teraz jakie zmiany zachodzą podczas zasypiania w samej umysłowości naszej.

Przedewszystkiem węzły logiczne, które na jawie łączą nasze myśli, rozluźniają się — uwaga rozprasza się. Skupienie jej na jeden temat, trzymanie się jednej sfery wyobrażeń, staje się coraz trudniejszem. Przeskakujemy z przedmiotu na przedmiot i to nie na zasadzie zbliżenia, ale na podstawie całkiem powierzchownych podobieństw. Myślałem n. p. o obrazie Andrea del Sarto, potem o Andrassym, potem o *salto mortale* wykonanem przez gimnastyka w cyrku. Widzę go jak skacze... Joasia płacze a Jaś się śmieje... Kwieciński grał doskonale... Artur był w loży — muszę się z nim zobaczyć... Artur, Arturowa... ten także ma artretyzm... wstrzykują mu kwas karbolowy, czy to boli? jesteśmy w ogrodzie Boboli we Florencyi... za co ten Chmielowski tak zjeździł Odyńca?... ale bo też Odyniec zachwycał się Cecylią Rafaela jakby było czem... ale o czemże to ja miałem myśleć?... A! o kopii rysunku Andrea del Sarto.

I dopiero wracamy do przedmiotu. Łączniki wyobrażeń albo są widoczne np. przy podobieństwie wyrazów, albo też domyślne jak np. wspomnienie o *Listach z podróży* Odyńca, ale zawsze możemy powiedzieć, że podczas zasypiania, *skojarzenia przypadkowe przeważają znacznie nad przyczynowemi.*

Ten brak nici przewodniej logicznej, dowodzi osłabienia uwagi, a osłabienie uwagi jest szczegółowym tylko przypadkiem ogólnego osłabienia woli.

Już w pierwszych chwilach zasypiania czujemy wymykanie się myśli z pod wpływu woli. Chciałbym myśleć o wartości obrazu a marzenie sprowadza mnie na pole polityki, gimnastyki, teatru, medycyny i krytyki literackiej — powracam do przedmiotu przez wysiłek woli, ale za chwilę znów mi się wymyka Trafia się jednak podczas snu, że jakiś obraz wymyślony rozpatrujemy długo, szczegółowo i uważnie, ale uwaga nasza ma wtedy w sobie coś obcego, coś mimowolnego, przypatrujemy się nie dla tego żeśmy chcieli pierwej, ale dla tego że nam się ten przedmiot narzuca. Coś skupia naszą myśl, nie my ją skupiamy, albo też my ją skupiamy, ale jakby zmuszeni przez jakiś mechanizm zewnętrzny któremu nie staramy się oprzeć. Zdarza mi się nieraz podczas zasypiania, że rozpatruję jakiś krajobraz, który widzę i wtedy czuję, że gałki oczne wykonywają ruchy mimowolne podobne do tych, jakie wykonywałyby, gdyby patrzały istotnie. Lecz mimo całej usilności tej wewnętrznej inspekcyi, nie wiem dla czego to czynię i co mnie do tego pobudza, czuję tylko że *muszę* czynić to co czynię.

Dugald Stewart twierdzi że wszystko co zmniejsza stopień uwagi, przyspiesza sen. Ale jest to względnie tylko prawdą. Dziecko które zmuszamy do uważnego czytania, choćby było senne, budzi się co chwila i czyta dalej, ale ono się budzi pod wpływem uczucia strachu, obawy kary, pod wpływem głośnych upomnień i łajań, a więc wrażeń uczuciowych, nie zaś z powodu skupienia uwagi na przedmiot czytany, gdyż owszem to skupianie najwięcej je męczy a tem samem sen przyśpiesza. I naodwrót: nowy przedmiot, np. widok nowo wchodzącej osoby rozpraszając uwagę dziecka, może je raczej rozbudzić. Tak samo książka, która nas zajmuje, nieusypia bynajmniej chociaż ją czytamy niedbale, ale książka nudna, którą czytamy z obowiązku, może uśpić. Zdanie więc Stewarta należałoby wyrazić w ten sposób: że wszystko to co nas mniej zajmuje, zmniejsza stopień uwagi i w skutek tego przyśpiesze sen — samo zaś rozpraszanie uwagi bynajmniej nie usypia, podobnie jak niemiłe skupianie uwagi nie rozbudza. Właściwemi więc czynnikami są tu *uczucia*. One rozbudzają, *brak zaś wrażeń uczuciowych zmniejszając natężenie uwagi, sen przyspiesza.* Jest to stan bardzo pospolity w klasie próżnującej a nazywany *nudami*.

(D. c. n.)

SIELANKA NIERÓŻOWA.

OBRAZEK MIEJSKI

przez

ELIZĘ ORZESZKOWĄ.

(Ciąg dalszy).

Z zarzecznego przedmieścia, z pomiędzy labiryntu domków i płotków, wychodziła czasem na miasto kobieta nędznie ubrana, dość młoda jeszcze i ładna znać niegdyś, lecz teraz ze zniszczoną, wyżółkłą, zbolałą twarzą. Chód

jej i ruchy były czasem zgrabne i pewnym nawet wdziękiem nacechowane, najczęściej jednak bezładne i chwiejne. Mieszkanki przedmieścia gdy spotkały ją idącą krokiem takim chwiejnym, z ckliwym bo bezmyślnym uśmiechem na ustach a gorączkowym ogniem w czarnem, pięknem znać niegdyś oku, mawiały:

— Ot i znowu Elżbietka nasza dogodziła sobie!

— Upiła się! — dodawały inne i śmiejąc się wołały:

— Elżbietko! hej, Elżbietko! hulasz dziś sobie po świecie, a gdzie twoja Marcysia?

Czasem kobieta wstrząsała żałośnie głową i odpowiadała:

— O Boże mój Boże! gdzie ona? alboż nie wiecie? nieboractwo tuła się po ulicach! Biedna dziecina moja, biedny mój robaczek maleńki...

I zaczynała na głos szlochać.

Nie rzadko przecież, wzmianka o córce, zamiast rozczulenia wywoływała w niej gniew. Wtedy odkrzykiwała sąsiadkom:

— A licho ją wie, tę włóczęgę, gdzie ona włóczy się od rana do nocy! Na sznurku w chacie nie utrzymasz! Oj, żebym ja była dziewczyny tej...

Resztę dopowiadała niezrozumiałem, bełkotliwem mruczeniem i wchodziła do jednego z szynków, które wystawami butelek błyszczących różnobarwnemi płyny, znaczyły każde załamywanie się podrzędnych ulic miasta.

Stan taki nie był przecież u Elżbietki zwykłym i ciągłym. Miewała ona niekiedy tygodnie i miesiące trzeźwości i pracowitości, w czasie których posługiwała osobom nie dość zamożnym, aby módz utrzymywać stałą służącą. Zamiatała mieszkania, myła podłogi, paliła w piecach, nosiła wodę, czasem nawet prała i szyła, a wszystkie czynności te spełniała z wielką wprawą, ochotą i zręcznością. Dla przymiotów tych, jak też może dla szczególnego wyrazu jej twarzy, bo w czarnych oczach jej leżał na dnie przepaścisty smutek a w uśmiechu wywiędłych ust była miękka rzewność, lubiono ją powszechnie i ubiegano się o jej usługi. Niektórzy namawiali ją, aby przyjęła gdziekolwiek służbę stałą. Słysząc to Elżbietka spuszczała powieki i z cicha mówiła:

— Kiedyś... służyłam po domach i... było mi nieźle... ale teraz!.. co to już o tem i mówić!

Zamiatając albo ścieląc łóżka patrzała w ziemię a na żółtem czole jej powstawało kilka grubych zmarszczek. W rzadkich chwilach skłonności do wywnętrzania się, mówiła: A cóżbym ja z moją dziewczyniną zrobiła gdybym w służbę poszła? Czy mię kto porządny weźmie do domu z dzieckiem, jeszcze z *takiem* dzieckiem?

A lękając się aby słów jej nie wytłómaczono na niekorzyść Marcysi, dodawała ciszej:

— Ona to nie gorsza jak inne dzieci... może nawet lepsza... rozumna bardzo... ale ot! urodziła się inaczej...

W porach tych, w których Elżbietka pracowała i do szynków nie zachodziła, Marcysia rzadziej ukazywała się na ulicach miasta, a gdy się tam ukazała, była mniej chudą, brudną i odartą. Nie żebrała też wtedy i unikała starannie hałaśliwych band ulicznych dzieci. Potem jednak przychodziły tygodnie i miesiące złe. Elżbietka przestawała chodzić na robotę do znajomych sobie domów, a mała Marcysia zgłodniała znowu, zziębła i ołachmaniona, z sinemi śladami uderzeń na plecach i twarzy, zamieszkiwała znowu otwarty na wsze strony świat boży, biegała za przechodniami ulic, prosząc o jałmużnę przyciszonem mruczeniem czasem, a często gdy była głodna milczącem wyciąganiem drobnej dłoni i ze łzą kręcącą się w przygasłej źrenicy; na śmietnikach, nad rynsztokami zaułków, w ciasnych szyjkach tajemniczych podwórek siedząc gryzła czarne jak noc kromki chleba, sypiała pod kościołami lub drzewami publicznych ogrodów, a gzymsy kościelne i gałęzie drzew osłaniały ją od deszczów i śniegów i spowijając cieniem swym szczupłą, skurczoną jej postać, ukrywały ją też przed wzrokiem stróżów publicznego porządku.

Takie przecież nocowania pod kościołami i drzewami miejskiemi zdarzały się w życiu nie często, bo gdy obawa przed gniewnymi wybuchami nieprzytomnej matki, samotność i nuda wypędzały ją z zimnego i ciasnego kąta, który nazywał się macierzyńskim jej domem, najmilszą dla niej ochroną były wierzby rosnące nad sadzawką w głębi jaru albo miękki i elastyczny od starości dach chaty, w której mieszkała stara Wierzbowa, ciotka i opiekunka Władka.

Z Władkiem znała się odkąd zapamiętać mogła że żyje. Elżbietka bywała często u Wierzbowej, która zajmując się stręczeniem sług i pożyczaniem zubożałym służącym pieniędzy na zastaw i procent, dostarczała jej sposobności zarobkowania i po każdej burzliwej a próżniaczej epoce jej życia, odrobiny pieniędzy, w zamian ostatnich nieprzepitych łachmanów i zobowiązań się na przyszłość ciężkich, odbierających ostatnią nadzieję wydobycia się z nędzy.

Kiedy Marcysia była jeszcze bardzo małą, Elżbietka przychodziła do Wierzbowej z dzieckiem na ręku i wchodząc do chaty na długie a często burzliwe rozprawy, zostawiała je przed progiem. Wtedy Marcysia staczała się czasem po ślizkiej trawie lub przymarzłem błocie okrywającem stromą ścianę jaru i wpadała do zielonawej sadzawki. Woda była tam spokojna i z brzegów płytka, niemniej, dziecko ogłuszone upadkiem, stłuczone i przestraszone, traciło przytomność i niemiało. Ratował ją wtedy Władek. W oka mgnieniu, kilku poskokami zbiegał on na dno jaru, wchodził w wodę po kostki a czasem po kolana, brał dziewczynkę na ręce, a dla tego, żeby prędzej oschła i oprzytomniała, sadzał ją niby na krześle, pomiędzy dwoma grubemi i wykrzywionemi gałęziami wierzby. Tam ogrzewało ją słońce i osuszał wiatr. Władek zawieszony sam na gałęzi, w trwodze aby nie spadła z drzewa, trzymał ją za kołnierz grubej koszuli, a czasem, gdy włosy jej stały się już gęste i dość długie, za włosy. Marcysia budząc się z omdlenia, spostrzegała, że znajduje się na drzewie i taką to ją napełniało radością, iż zapominając o przebytej katastrofie, wybuchała długim, głośnym chichotem. Władka nie lękała się nigdy, bo patrząc na nią wtedy, śmiał się zawsze.

— Jakaś ty zabawna! — wołał — toczysz się w dół jak piłka i pluś! do wody! Gdyby mnie nie było, zostałabyś w sadzawce i zjadłyby cię żaby!

Na to straszne przypuszczenie Marcysia szeroko otwierała oczy i zapytywała:

— Dzie ziaby?

Zaledwie umiała wtedy mówić, a Władek starszy od niej o trzy lata i posiadający już spory zasób doświadczenia życiowego, śmiał się do rozpuku z niewyraźnego i pieszczotliwego jej szczebiotu. Przedrażniając ją mówił.

— Dzie ziaby? nie widziałaś jeszcze żab? to dobrze! zaraz ci je pokażę!

Brał ją na ręce i znosił z drzewa a potem szedł brzegiem sadzawki, szukając zielonych żabek, których tam znajdowała się moc wielka. Bosy był i w grube płótno odziany, a malutka dziewczynka bosa także, w rozwartej u piersi i mokrej jeszcze koszuli, szła za nim po trawie, która na wilgotnym, niskim gruncie, bujnie rosła i dosięgała czasem kolan chłopca a jej ramion.

Nie zawsze zajmowały ich żaby. Czasem siedząc z nią na drzewie, pokazywał jej upatrzone już wprzódy gniazda ptasie i schyleni nad kołyszącą się pod niemi gałęzią, z otwartemi usty i zapartym w piersiach oddechem, przypatrywali się małym stworzeniom, wychylającym z gniazda główki okryte skosmaconem pierzem i oczekiwali przylotu matki. Gdy przylatywała, nie śmieli wzajem oznajmiać sobie o tem najcichszym choćby szeptem, tylko trącali się łokciami, wyciągali w kierunku gniazda wskazujące palce, a obie twarze ich oblewały się wyrazem nieopisanej radości.

Niekiedy, spuściwszy się z drzewa wchodzili pomiędzy dzikie krzewy, wielką gęstwiną obrastające jeden bok sadzawki, obrywali i zjadali drobny, zdziczały agrest lub wstrząsali z całych sił swych berberysowemi krzakami, aby spuścić sobie na głowy, ramiona i pod stopy deszcz koralowych jagód.

Wszystkie zabawy te trwały póty, dopóki w górze nie ozwał się głos Elżbietki, niespokojnie i niecierpliwie wołającej Marcysi. Dziewczynka na wołanie to, śpiesznie i gorliwie zaczynała wdrapywać się na ścianę jaru, ale gdy usiłowania jej w tej mierze okazywały się bezowocnemi, Władek brał ją na ręce i uszczęśliwioną, śmiejącą się, w szerokich poskokach wnosił na górę.

Elżbietka, która od Wierzbowej wychodziła najczęściej zapłakana a nierzadko nawpół już tylko przytomna (wieść niosła, że Wierzbowa dla lepszego ciągnienia z nich korzyści, usiłowała rozpajać swoje klijentki), ujrzawszy Marcysię porywała ją z rąk chłopca z gwałtownością taką, że śmiech jej w mgnieniu oka zmieniał się w płacz. I gdy Elżbietka, z gniewnem mruczeniem lub posępnie spuszczonemi oczami, zstępowała w dół, ścieżką ku przedmieściu wiodącą, dziewczynka wciąż oglądała się i oczami w których łzy stały, szukała Władka. On, stał najczęściej u szczytu ścieżki i dopóki nie zniknęła mu z oczu podskakiwał, wyrzucał nogami i wykrzywiał się do niej tak, że znowu na głos cały śmiać się zaczynała. Czasem, rzucał za nią zerwane w jarze pęki berberysowych gałęzi a ona wyciągała po nie ręce i zwieszona cała na ramieniu matki podskakiwała tak, jakby ku niemu ulecieć chciała.

Raz, gdy mając już lat pięć, przyszła tam z matką, Władek zapytał ją, dla czego sama nie przychodzi nigdy do jaru.

— Boisz się, czy drogi jeszcze nie znasz? — mówił. — Jeżeli boisz się, toś głupia, bo wilki cię tu nie zjedzą, a jeżeli drogi nie znasz, to kiedy z matką idziesz lepiej oczy wytrzeszczaj!

*

Wielka już jesteś, możesz sama po świecie chodzić!

Po krótkim namyśle dziewczynka rzekła:

— Jutro przylecę!

— Przyleć! — odpowiedział i z powagą dodał — do miasta cię zaprowadzę. Zobaczysz jak tam ładnie!

Niewiadomo, czy perspektywa jutrzejszej samodzielnej wyprawy, nie dała nocy tej spać Marcysi, czy też zbudziła ją matka, która o brzasku dnia zerwała się z nędznej pościeli, schwyciła garstkę drobnej monety otrzymanej wczoraj od Wierzbowej i wybiegła na miasto, dość, że sine, poranne mgły owijały jeszcze jar i zwieszoną u ściany jego chatę, gdy ukazała się ona oczom Władka. Władek, który noc przespał pomiędzy wierzbami, tylko co był obudził się i siedząc nad sadzawką z łokciami opartemi na podniesionych kolanach i brodą w dłoniach, zaspanemi oczami wpatrzony w nieruchomą wodę, głęboko dumał. Dziewczynka zawołała go z góry. Podniósł głowę i ujrzawszy drobną jej postać szarzejącą śród sinej mgły, odkrzyknął:

— Chodź!

Zaczęła zstępować z góry, ale szło jej to z trudnością nadzwyczajną. Slizgała się na pochyłości, padała, podnosiła się i siadała znowu. Władek na wysilenia te jej i niepowodzenia patrzał z niewzruszoną obojętnością.

— No, dalej! — mówił — dalejże! śmiało! Upadłaś! nic nie szkodzi! nie rozbijesz się! szklanna nie jesteś!

Szklanna nie była w istocie, ale gdy pośliznęła się ostatecznie i jak piłka stoczyła się w dół nad sam brzeg sadzawki, wrzasnęła głośnym płaczem. Zbliżył się do niej i spojrzał na nią ze wzgardliwem politowaniem.

— Ot, jakie to te dziewczyny — rzekł — jak ja byłem w twoim wieku, tom już po górach skakał i po drzewach łaził jak koza. Jeżeli będziesz wrzeszczeć — dodał — schwycę cię zaraz i het precz! za rzekę i miasto zarzucę...

W mgnieniu oka płakać przestała, a gdy wyjął z za koszuli kawał czarnego chleba i przełamał go na dwoje, patrzała na niego z uśmiechem błogiej nadziei na łzami zalanej twarzy. Wyciągnęła rękę i zawołała:

— Daj! daj! daj!

Siedzieli potem obok siebie, pod krzakami berberysu, ociekającemi poranną rosą i gryźli w milczeniu twarde kromki chleba. Mgła gęsta i podobna do sinego dymu, która o świcie dnia napełniała jar aż po brzegi, przerzedzać się i w górę podnosić się zaczęła; spowite w nią wprzódy wierzby, wysuwały teraz z za niej gałęzie niby ręce z pieluch odwijanych stopniowo, srebrnawe ich liście drżały z cichem furczeniem, a na każdym z nich błyszczał brylant rosy. Na ciemną powierzchnię sadzawki spadł długim wężem złoty promień słońca i dosięgły przybrzeżnych ajerów, rozsypał się na długich liściach ich w tak wielki rój iskier, że ścigające go wzrokiem dzieci, jednocześnie zakryły dłońmi olśnione swe oczy. Gdy odjęły ręce od mrużących się powiek, wysokie ajery stały przed niemi w ogniu całe, za niemi ściana jaru wznosiła się jak gorąco-różowa skała, w wierzbach i głogach ogłuszająco śpiewały ptaki, mgły sinej nie pozostało już ani śladu, tylko powietrze przejęte było jeszcze chłodną wilgocią nocy i niziny.

(C. d. n.)

JAN ŁASKI

ARCYBISKUP GNIEZNIENSKI SPRZYMIERZEŃCEM SUŁTANA TURECKIEGO.

SZKIC HISTORYCZNY

przez

Dra Aleksandra Hirshberga.

(*Ciąg dalszy.*)

Jakkolwiek w szybkiem tem wyniesieniu Hieronima jego niepospolite zdolności i wykształcenie nader ważnym były czynnikiem, to jednak nie da się zaprzeczyć, że główną rolę odegrała tu protekcya arcybiskupa i że synowiec jego, sam sobie drogę torując, daleko później doszedłby do tych zaszczytów i nierównie dłużej musiałby pracować nad osiągnięciem stanowiska, jakie już wówczas zajmował.

Niemniej gorliwie opiekował się prymas drugim z swoich synowców, Janem, młodszym bratem Hieronima, który w dwadzieścia lat później tak szeroko zasłynął, jako jeden z najznakomitszych reformatorów kościoła [1]).

Jan Łaski, zwykle młodszym zwany dla odróżnienia go od arcybiskupa, należy również do najwybitniejszych i najciekawszych postaci historycznych wieku XVI. Podobnie jak Hieronim i on zawdzięczał stryjowi swe wykształcenie, jakoteż pierwsze beneficya i godności kościelne. Wcześnie przeznaczony do stanu duchownego, już w r. 1517 otrzymał kanonie w Krakowie i Płocku i kustodyą łęczycką [2]). W roku następnym widzimy go dziekanem gnieźnieńskim [3]). Młody Jan kształcił się wówczas na koszt stryja w Bononii, później dla dalszych studyów przez dwa lata przebywał we Francyi [4]) Ztąd udał się w lecie r. 1525 do Bazylei, dla zawiązania bliższych stosunków z Erazmem Roterdamczykiem, a nader uprzejmie przyjęty przez słynnego humanistę, zamieszkał u niego przez kilka miesięcy, sam jednak w sposób nader hojny ponosząc wszelkie koszta utrzymania wspólnego domu. Wówczas to do tego stopnia pozyskał sobie Erazma, iż Roterdamczyk nie tylko w listach swych największemi obsypywał go pochwałami, ale nadto chwile z nim razem spędzone do najszczęśliwszych w swem życiu zaliczał [5]).

Podczas pobytu Jana za granicą nie zaniedbał arcybiskup żadnej sposobności, aby dlań uzyskać jaką wyższą godność w hierarchii kościelnej. I tak w r. 1520 nader usilne czynił zabiegi, chcąc mu wyjednać probostwo gnieźnieńskie i łęczyckie. Niemniej gorliwie starał się w trzy lata później (w r. 1523), aby go król zamianował koadyutorem biskupa płockiego. Ale usiłowania te w obydwóch wypadkach żadnego nie odniosły skutku [6]). Natomiast udało mu się nakłonić Zygmunta do wydania listu, polecającego jego synowca stolicy apostolskiej na probostwo łęczyckie [7]). Godność tę otrzymał on jednak dopiero w kilka lat później, tymczasem zaś już w r. 1525 zamianowała go kapituła płocka swym kustoszem katedralnym [8]) — zapewne nie bez

[1]) P. Bartels, Johannes a Lasco (Elberfeld, 1860). — Cypr. Walewski, Jan Łaski, reformator kościoła (Warsz. 1872).

[2]) Theiner, Vetera monum. Pol. et Lith. T. II. Nr. CCCCV. — Zeissberg, tamże str 91 i 29a.

[3]) Tamże. str. 91 i 35a.

[4]) Rps. Bibl. Ossol. 158, str. 121.—Bartels, tamże str. 5.

[5]) Bartels, tamże str. 5—6. C. Walewski, tamże str. 2.

[6]) Zeissberg, tamże str. 57—63.

[7]) W pierwszych dniach Lipca 1523 r. Tamże str. 63.

[8]) Walewski, tamże str. 3.

pośrednictwa niestrudzonego pod tym względem arcybiskupa.

Z początkiem roku następnego powrócił młody Łaski do kraju i prawdopodobnie za staraniem swojego stryja i protektora został wówczas sekretarzem królewskim [1]), a wkrótce potem uzyskał od Zygmunta prezentę na probostwo gnieźnieńskie [2]).

W taki to sposób, wyszedłszy zaledwie z wieku młodocianego, dostępowali obydwaj Łascy coraz wyższych urzędów i godności. Niewątpliwie było to dziełem prymasa, jakkolwiek dziś już nie w każdym wypadku zdołalibyśmy dostarczyć na to dowodów lub przynajmniej świadectw historycznych. Zabiegi arcybiskupa, czynione w tym celu, coraz większą niechęć i zawiść wywoływały u jego przeciwników. Im więcej planów i nadziei uzyskania jakiej godności lub beneficyum wakującego musiał prymas zniweczyć działaniem na korzyść swoich synowców, tem bardziej rozszerzało się koło jego nieprzyjaciół. Antagonizm ten przeciwników rodziny Łaskich objawił się w sposób najbardziej charakterystyczny w głośnej podówczas sprawie o starostwo malborskie.

W połowie Czerwca r. 1525 wysłał król do Malborga komisyę, złożoną z czterech senatorów, w celu załatwienia sporu między Ewerardem Ferberem a mieszczaństwem gdańskiem. Członkami tej komisyi byli także Stanisław Kościelecki wojewoda kaliski i Hieronim Łaski [3]). W miesiąc później — może w nagrodę trudów, poniesionych w tej ostatniej sprawie — posunął król Kościeleckiego na wyższe krzesło w senacie, mianując go wojewodą poznańskim [4]), a Łaskiemu nadał starostwo malborskie, które dotąd było w posiadaniu Kościeleckiego. Hieronim wówczas już wykonał przysięgę jako starosta malborski [5]), jednak objęcie przezeń nowego urzędu miało nastąpić dopiero później [6]). Odroczono je prawdopodobnie aż do chwili, w której Kościelecki otrzymałby w zamian inne starostwo, przynajmniej tego znaczenia i w takie uposażone dochody, jak malborskie.

Udzielenie Hieronimowi tej, jak później mówiono, ekspektatywy, a zapewne jeszcze bardziej starania Łaskich o szybkie wykonanie tego dekretu królewskiego, najżywszą niechęć wywołały u nieprzyjaciół ich rodziny. Niestety nie wiemy, jakie jej były pierwsze objawy. Tym razem jednak nie poprzestano na zwykłem w takich wypadkach pokątnem wyrzekaniu na „intrygi“ i „przewrotność“ arcybiskupa, lecz posunięto rzecz do całkiem jawnego i łącznego wystąpienia, w formie memoryału do królowej Bony.

Stało się to dopiero w rok później, w Czerwcu 1526. Zygmunt wraz z całym swym dwo-

[1]) Metr. kor. ks. 42. fol. 176b.

[2]) 6. Listopada. Metr. kor. ks. 40. fol. 301. Praesentatio ad praeposituram ecclesiae metropol. Gnesnensis. Por Walewski, tamże str. 3.

[3]) Acta Tomic. T. VII. Nr. CVIII.

[4]) Metr. kor. ks. 38. str. 499.

[5]) Sabbatho post festum s. Jacobi proximo 1525 t. j. 29. Lipca t, r. (Metr. kor. ks. 38 str. 478).

[6]) Wynika to z słów następujących: „Marienburgi praefecturam contulerat quidem Maiestas Regia Domino Łaskl. quam ut paululum exspectasset, iniunxerat“ etc. Słowa te powiedział sekretarz królewski Jan Chojeński 24. Maja 1528 r. odpowiadając w imieniu króla na legacyą Zapolyi, który usiłował nakłonić Zygmunta do pozostawienia i nadal Hieronimowi tegoż starostwa. Właśnie wówczas bowiem, ale dopiero wówczas, utracił je wojewoda sieradzki, z powodów, o których poniżej pomówimy (Acta Tomic. kod Sap. t. VII. k. 124a).

rem i większą częścią senatu bawił wówczas w Gdańsku. Pomiędzy obecnymi tu senatorami znajdowało się wielu z znanych przeciwników arcybiskupa. Wspólna im niechęć do prymasa i zawiść z powodu tylu przezeń uzyskanych korzyści dla rodziny swej i stronników popchnęła ich do aktu, który miał upokorzyć Łaskich, zniewalając króla do cofnięcia pomienionego nadania, pod pozorem obrony wrzekomo pokrzywdzonego wojewody poznańskiego. Cel ten usiłowano osiągnąć za pośrednictwem królowej Bony, przedstawiając jej sprawę Kościeleckiego w nader stronniczo skreślonym memoryale.

Niestety nie umiemy powiedzieć, kto był głównym twórcą tej myśli; to jednak pewna, że nader gorliwego poparcia udzielili jej podkanclerzy i jego siostrzeniec Krzycki, wówczas już będący biskupem przemyskim.

Memoryał ten dość zręcznie ułożono. Cel właściwy ukryto jak najstaranniej, natomiast szeroko rozwodzą się autorowie tego pisma o świetności i zasługach rodziny Kościeleckich i usiłują wykazać, jak wielkąby jej wyrządzono zniewagę, odejmując wojewodzie starostwo malborskie. Stałoby się to także z ujmą dla sprawy publicznej, gdyż gród ten, będący najwalniejszą obroną ziem pruskich „powierzano dotąd tylko mężom dojrzałym, poważnym i doświadczonym“. W słowach tych chciano wytknąć królowi niestosowność mianowania Hieronima starostą malborskim, jako człowieka młodego jeszcze i niedość wytrawnego zdaniem jego nieprzyjaciół. Zresztą wyraźnej wzmianki o nim tu nie ma, w innem tylko miejscu czytamy o „usilnych zabiegach pewnych osób“ w celu uzyskania tegoż starostwa. Tak więc, nie wymieniając nawet nazwiska Łaskich, usiłowano wszelkie zachować pozory, że nie o nich tu chodziło i że wyłącznym celem tego aktu była obrona tak niesłusznie w swej czci zagrożonego senatora.

Memoryał kończy się najuroczystszą prośbą do królowej, aby rodzinę Kościeleckich ochroniła od grożącej jej „hańby“ i nie dozwoliła pozbawić wojewody urzędu, który z takim pożytkiem sprawuje dla Rzeczypospolitej.

Ciekawy ten dokument podpisało 17 senatorów, między którymi znajdujemy nazwiska pierwszych dostojników i potomków najznakomitszych rodzin. Na czele umieścił swój podpis Tomicki jako biskup krakowski, po nim prawie wszyscy biskupi z Prus i Korony; widocznie w stanie duchownym miał arcybiskup nader liczny zastęp przeciwników. Z senatorów świeckich podpisali ten akt obydwaj Szydłowieccy, kanclerz i podskarbi, Mikołaj Kościelecki, wojewoda kaliski, brat Stanisława, Jerzy Bażyński wojewoda malborski, Łukasz Górka, kasztelan poznański, marszałek koronny Piotr Kmita, Stanisław ze Sprowy, kasztelan biecki i kilku innych [1]).

Szereg tych nazwisk świadczy najwymowniej, że memoryał wyszedł z grona najpoważniejszych osób, mężów kierujących losami Rzeczypospolitej. Charakteryzuje to potęgę stronnictwa przeciwnego arcybiskupowi, a nadto zniewala nas do bliższego zastanowienia się nad treścią tego pisma. Może też rzeczywiście uknuli Łascy nikczemną intrygę, którego skutkiem miało być tak okropne „zhańbienie“ jednego z pierwszych senatorów Królestwa?

Na zapytanie to stanowczo odpowiadamy w sposób przeczący, a czynimy to tem śmielej, że gdyby nawet prymas i jego synowiec zdolni byli do popełnienia czegoś podobnego, najmocniej przemawiają przeciw takiemu przypuszczeniu istniejące wówczas stosunki. (C. d. n.)

[1]) Ciekawy ten akt przechował nam Górski w Tomicyanach (T. VIII. Nr. LI.)

TRZYNASTY SĘDZIA.

NOWELLA

przez

ALBERYKA SECOND.

Kiedy Piotr Granger, prowadzony przez czterech żandarmów, wszedł do sali sądowej i zajął miejsce na ławie oskarżonych, wielki gwar powstał wśród zebranego tłumu, przybyłego ze wszystkich krańców departamentu na ostateczną rozprawę w tak rozgłośnym procesie. Kto nie mógł dotłoczyć się do sali, wspinał się na palcach; inni, zręczniejsi, poprzyczepiali się, jak powój na filarach zdobiących salę rozpraw; inni znowu, wdarli się na szerokie rzeźbione oddrzwia głównego wejścia i umieścili się dość wygodnie po nad drzwiami, tworząc tym sposobem różnokształtne żyjące karyatydy. Znalazł się nawet jakiś śmiałek, który do tego stopnia posunął swoją ciekawość i zapomnienie względów przyzwoitości, iż postawił nogę na ładownicy żołnierza, czuwającego nad utrzymaniem porządku. Korzystając z tej zaimprowizowanej podpory, skoczył na ramiona żołnierza i usiadł sobie jak na koniu. Na nic jednak nie przydał mu się ten gimnastyczny wybryk. Żołnierz bowiem, oburzony zbytnią poufałością nieproszonego gościa, potraktował go kilku energicznemi uderzeniami z początku pięścią, a gdy to nie skutkowało, kolbą swego karabina. Przypominam sobie także, że ciekawego owego żartownisia odprowadzono do więzienia i przetrzymano tam całe dwanaście godzin.

Piotr Granger nie należał bynajmniej do rzędu pospolitych zbrodniarzy, lichych przestępców, dla których sąd wyznacza obrońcę z urzędu, z którymi rozprawa toczy się wśród pustej sali, i którzy wreszcie kończą swoją karyerę na galerach państwowych, nie zwróciwszy nawet uwagi publicznej na siebie, gdy w celkowym wozie transportują ich na miejsce przeznaczenia. Piotr Granger otoczony był względami prasy sądowej. Dziennik *Droit* poświęcił trzy szpalty na jego biografię, a *Gazette des Tribunaux*, zaszczyt niezmierny! podała cały akt oskarżenia! Wiadomo było nakoniec, że różne pisma paryskie przysłały swoich stenografów i sprawozdawców, co w zawodzie kryminalnym stanowi szczyt powodzenia.

Wiedziano również, że obrony podjął się adwokat Lepervier, oskarzycielem zaś publicznym miał być prokurator królewski, Tourangin, co zdarzało mu się tylko w razach wyjątkowych, nadzwyczajnych. Otóż, dwa te nazwiska więcej mówią aniżeli dwie stronnice komentarzy; pan Lepervier bowiem, był chlubą linii obrończej podobnie jak pan Tourangin przynosił zaszczyt urzędowi oskarżyciela publicznego. Kiedy oni dwaj potykać się mieli z sobą, naród tłoczył się do sali sądowej jakby na operę, w której Mario i Lablanche razem występować mieli; porównanie tem słuszniejsze, że adwokat posiadał nader miły głos tenorowy, z gardła zaś prokuratora dobywały się poważne niskie tony, jakby umyślnie nastrojone dla wniesienia zbawiennej trwogi w nieczyste sumienia. Zbiegali się też natychmiast wszyscy zwolennicy pięknej wymowy, dźwięcznych okresów i zdań zaokrąglonych jak kule bilardowe. Była to prawdziwa uczta, złożona z prozopopei, onomatopii, metafor i parafraz. Wszystkie figury retoryczne defilowały wobec zachwyconych słuchaczów, mizdrząc się i paradując w wyszukanej formie i staczając pomiędzy sobą urocze walki na wzór pasterzy i pasterek Wirgilego. Gradem sypały się epitety, mogące samego Delile'a do rozpaczy doprowadzić. Każdy rzeczownik występował w towarzystwie nieodłącznego przymiotnika, jak owe wielkie damy z ubiegłego stulecia, które ciągnęły za sobą pazika obowiązanego nosić długie ogony atłasowych ich spodnic. W wytwornym tym języku, czując wstręt do wyrazów pospolitych, człowiek nazywał się śmiertelnikiem, koń — biegunem, a księżyc — bladą gwiazdą nocy. Nie mówiono: mój ojciec, moja matka — ale: dawcy mojego życia; sen, był marzeniem, szklanka — puharem, powóz — rydwanem; mieczem — nóż zwykły; a wiatry — akwilonami; co wszystko, razem wzięte, tworzyło arcydzieło krasomówczej sztuki.

Piotr Granger był to sobie tęgi chłop, trzydziesto-ośmioletni, pięć stóp dziesięć cali wysoki, o rudych krętych włosach, rumiany, barczysty, z malenkiemi iskrzącemi oczami sowy lub puhacza. Obwiniony był o zamordowanie swej żony i porąbanie trupa jej na kawałki, a następnie o podpalenie domu celem utajenia swej zbrodni, wskutek czego zadusiło się troje dzieci. Stek tylu naraz niegodziwości przyczynił się do nadania mu wielkiego rozgłosu. Wiele pięknych kobiet pragnących przypatrzeć się zbliska takiemu nędznikowi, poniżyło się aż do ubiegania się o względy i protekcye dozorcy więzienia.

Spodziewam się, że z tego co powiedziałem, łatwo już można zrozumieć wszystkie powyższe okoliczności: wyprawienie stenografów z Paryża, jednoczesne wystąpienie sławnego adwokata Lepervier i wymownego prokuratora Tourangin, a nadewszystko wielki wybuch ciekawości, jaki się objawił między publicznością w chwili, gdy Piotr Granger, pod eskortą czterech żandarmów, wszedł do sali rozpraw sądowych i zasiadł na ławie oskarżonych.

Ale Piotr Granger nie należał bynajmniej do istot trwożliwych i nieśmiałych. Nie kłopocząc się wcale tysiąc kilkuset parami oczu zwróconych na jego osobę, całą uwagę swą natężył na przyglądanie się pięknym damom, zajmującym uprzywilejowane miejsca po za stołem przewodniczącego i z bezczelną impertynencyą śledził je bystremi swemi oczkami.

Wyciągnięto losem dwanaście nazwisk sędziów przysięgłych, a przewodniczący zapytał prokuratora i obrońcę czy pragną korzystać z prawa wyłączenia.

Obrońca oświadczył, iż gdy dwanaście wygłoszonych nazwisk należą do osób nieposzlakowanej zacności, bezstronnych i inteligentnych, uważałby za ubliżenie dla nich samą myśl nawet o jakiemkolwiek wyłączaniu.

Zastępca prokuratoryi złożył równobrzmiące oświadczenie; z uwagi jednak na przewidywaną długość rozpraw, wniósł o przybranie jednego jeszcze sędziego nadkompletnego. Po przychyleniu się sądu do tego wniosku, przewodniczący powtórnie zanurzył rękę w urnie, i wyciągnął z niej kartkę z nazwiskiem majora Vernoc.

Na odgłos tego nazwiska lekki dreszcz przebiegł całą salę. Pan Tourangin i pan Lever-

vier zamienili z sobą przelotne spojrzenie, dając się w tych słowach wytłómaczyć:

— Czy pan nie wykluczysz tego człowieka?

Ale ani jeden, ani drugi nie miał ochoty pierwszy odzywać się z czemś podobnem. Woźny więc wprowadził trzynastego sędziego na wyznaczone mu miejsce; a gdy jednocześnie przewodniczący nakazał odczytanie aktu oskarżenia, nastąpiła głęboka cisza, nikt bowiem z obecnych nie chciał utracić najmniejszego szczegółu z tak zajmującego utworu w dziedzinie literatury kryminalnej, w którym, autor jego, prokurator jeneralny, zużytkował nie mniejszą ilość hyperboli, prozopopei i metafer od samego pana Tourangin nawet.

II.

Major Vernoc, ów trzynasty sędzia, mieszkał w naszem miasteczku od lat czterech. Wszyscy tytułowali go majorem, nikt jednak nie wiedział, w którym pułku dosłużył się tego stopnia. Zarówno nic nie wiedziano czy ma jaką rodzinę, krewnych, powinowatych. Niektórzy pragnęli wybadać go pod tym względem; ale major zwykł był odpowiadać w sposób, który bynajmniej nie zachęcał do dalszych dociekań:

— Czy ja się mięszam do pańskich spraw?— była jego nieodmienna odpowiedź na podobne niedyskretne zapytania. — Podobała mi się wasza mieścina; klimat macie tu znośny, nie brzydkie kobiety, wino nie najgorsze, przyszła mi więc ochota tu osiąść sobie na emeryturze. Jeźli to pana obraża, jestem na jego rozkazy; jak pan wolisz: na szpady, czy na pistolety, służę panu w każdej chwili.

Z obejścia i powierzchowności majora widocznem było, że gotów jest skrupulatnie spełnić swoją obietnicę. Według zapewnień nader szczupłej liczby osób, które miały sposobność zwiedzić jego mieszkanie, sypialny jego pokój był prawdziwą zbrojownią. Między innemi wymieniano dwanaście pistoletów, artystycznie rozmieszczonych, z których, jak major twierdził, jednym strzałem gasił świecę, na trzydzieści pięć kroków rozcinał kulę na ostrzu noża i w lot jaskółki zabijał.

Z tem wszystkiem był to bardzo miły człowiek, niewtrącający się do cudzych interesów, nadzwyczaj systematyczny, punktualny jak termin wekslowy, i palący wyborne cygara, przysłane mu, jak mówił, przez jednego z przyjaciół wprost z Hawany.

Co do powierzchowności, wysokiego był wzrostu, niezmiernie chudy, zawsze czarno ubrany, bardzo łysy, nosił długie ostrogi, wąs zakręcony do góry, i kapelusz z daleka przechylony nad lewem uchem.

Jako członek naszego klubu, przychodził regularnie o dziesiątej wieczorem. Sam nie grywał nigdy; siadał tylko przy grających, brał dziennik w rękę i zasypiał niebawem, aby obudzić się z pierwszem uderzeniem godziny dwunastej. Natenczas zapalał cygaro, pokręcał wąsa i brzęcząc ostrogami, odchodził, żegnając obecnych sztywnym żołnierskim ukłonem.

Zdawało się niekiedy, iż który z nas odzywał się:

— Dobrej nocy, majorze!

Na te słowa, major zatrzymywał się, spojrzał przenikliwie na przemawiającego, skinął mu lekko głową i odpowiedział. *Dobrej nocy, panu!* ale głosem tak suchym i oziębłym, że zakrawało to raczej na grubiaństwo, aniżeli na zwykłą towarzyską uprzejmość.

Doszliśmy wreszcie do przekonania, że ten co ryzykował się na podobną rozmowę z dyabelskim majorem, stawał się przez resztę nocy ofiarą losu, prześladującego go do upadłego. Grający w karty, zgrywał się do ostatniego centa; spokojny czytelnik gazet, mimowolnem poruszeniem ręki tłukł lampę w drobne kawałki — inny znów, wracając do domu, stał się niechybnie ofiarą jakiejś awantury ulicznej. Koniec końców widocznem było z tego wszystkiego, że major miał *złe oko*, jak mówią Włosi — a wyrażenie: „musiał mi dziś major dobrej nocy życzyć,“ gdy się komu coś niemiłego wydarzyło — zyskało prawo obywatelstwa w naszym klubie.

Major Vernoc stołował się w hotelu *Pod herbem Francyi*. Podczas obiadu bywał również milczący jak zawsze i zwykle dość zadowolniony. Jednego razu tylko — a było to właśnie w sam Wielki piątek — uniósł się gniewem, i wywołał scenę wielce gorszącą ze względów religijnych, scenę, która całe miasto niezmiernie oburzyła.

Zjadłszy zupę, rzucił okiem na spis potraw, zmarszczył brwi i kazał przywołać do siebie gospodarza.

— Czemu to dziś — zapytał — tylko postny jest obiad?

— Pan major zapomniał zapewne, że dzisiaj mamy Wielki piątek?

— Każ mi pan podać dwa kotlety i porcyą pieczeni wołowej.

— Niepodobieństwo! Ani jednego grama mięsa nie dostanie dziś u rzeźników! — zaprotestował zgorszony restaurator.

— Masz pan zwierzynę przynajmniej?

— Ani jednej sztuki.

— Bałwany! — wykrzyknął major uderzając w stół pięścią tak silnie, że wszystkie butelki podskoczyły jakby znajdujące się w nich wino uderzyło im do delikatnych główek.

Następnie skinął na garsona.

— Idź — rzekł — do mojego mieszkania i przynieś mi dubeltówkę wiszącą nad łóżkiem.

Restaurator zbladł jak trup i zatrząsł się całem ciałem.

Za chwilę powrócił garson z przepyszną, grawirowaną dubeltówką, której obie lufy były bogato srebrem inkrustowane. Major wziął broń do ręki, popróbował zamków, zmienił kapiszony i w każdą lufę nasypał po garstce zajęczego śrutu.

Restaurator, na wpół umarły ze strachu, upadł bez sił na fotel.

— Litości! litości! — wyjęczał, błagalnie składając dłonie.—Nie zabijaj mnie pan, najlepszy panie majorze!

Pan Vernoc wzruszył tylko ramionami i nic nie odpowiedziawszy, wyszedł na ulicę. Wszyscy obecni stołownicy wyszli także za nim.

Hotel *Pod herbem Francyi* znajdował się w sąsiedztwie starego kościoła świętego Patrycyusza, po nad którym wznosiła się wysmukła wieża nadzwyczajnej wysokości... U samego szczytu tej wieży gnieździły się kruki, których codziennie, podczas bicia w dzwony, całe stada krążyły w około wieży, zapełniając powietrze przeraźliwym wrzaskiem.

Major obszedł w koło kościół, oparł się o szczątek muru cmentarnego, zarośniętego bluszczem i powojem i czekał na przelot ptaków. Jeszcze minuta nie upłynęła, gdy rozległy się dwa strzały i dwa kruki padły przed nogami strzelca, świadcząc o celności jego oka i ręki.

— Do licha! Jestem skrzywdzony — mruknął major podnosząc swój łup — i te kruki także postną minę mają!

Wrócił do hotelu i stosownie do jego życzenia, z jednego kruka przyrządzono potrawkę, a drugiego wsadzono na rożen. Zjadł obie te oryginalne potrawy z najlepszym apetytem, nie zostawiwszy z nich ani okruszyny i z zadowoleniem wyraził się, że przez całe życie nie jadł nic równie smacznego.

Od owego czasu major stał się przedmiotem niepokoju dla jednych, postrachu dla drugich, a źródłem ciekawości dla wszystkich. Kiedy przechadzał się w ogrodzie publicznym, alea którą sobie wybrał, pustoszała niebawem, w teatrze nikt się do niego nie zbliżył; i dość często zdarzało się, że stare kobiety żegnały się albo spluwały ukradkiem, spotykając się z nim w ciasnych uliczkach miasteczka.

Co do niego samego, okazywał zawsze największą pod tym względem obojętność. Kiedym go raz zagadnął w drażliwej tej kwestyi, pokręcił tylko z szyderstwem wąsy:

— Współmieszkańcy pańscy — rzekł mi puszczając gęsty kłęb dymu — są idioci prawdziwi!

Odwrócił się odemnie i poszedł dalej.

(C. d. n.)

STUDYA ESTETYCZNE.

przez

WOJCIECHA DZIEDUSZYCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Szerzej jeszcze odmalowano to samo szczęście rodzinne przy dzieciach w tak zwanej „Wielkiej świętej rodzinie“ w Luwrze, gdzie śród większej liczby uradowanych postaci klękły na pierwszym plonie Matka z najpiękniejszym na świecie, nagim, śmiejącym się chłopczykiem, i babka staruszka z drugim nagim chłopczykiem, któremu ręce do modlitwy składa. Ale tu miłośne uczucia mniej silnie występują, większą odgrywa rolę podziw dla wszechstronnych zdolności malarza — i dla boskiej równowagi w sztuce. Może tu grecki ideał złagodniały trochę, i może ów dobry smak rzymski, o którymeśmy powyżej mówili i którego Rafael może nigdy z oczu nietraci; ale tu dobry ów smak tworzy cuda, o których w budownictwie nie marzył, bo tu malarstwo żywe postacie przedstawia i przezto samo nie może popaść w martwotę idealnej, pospolitej kamienicy, o nudnych czworobocznych oknach. Tu dobry smak zależy na przedziwnej równowadze wszystkich zalet, tylko na harmonii najpiękniejszych barw, które jednak nie ćmią jak u Tycyana i najczystszych linii, nie tak zuchwałych jednak jak u Michała Anioła. Nigdzie nie dostrzeżesz tak żywego dziecka jak ów cud sztuki Chrystusik Rafaela w wielkiej świętej rodzinie, w Luwrze, a jednak dziecko to wcale nie popadło w pospolitość i brzydotę późniejszego realizmu.

I na tem się skończył drugi okres Rafaelowskiego malarstwa, w którym malował ideał życia człowieka i ludzkości — ideał ów już był odmalowany — a gdy mistrz dalej pęzlem władał, musiał malować chwile wypadkowe — obrazy historyczne, i że tak powiem, rodzajowe al-fresca. Zcieśnił swój widnokrąg, stał się mniej zrozu-

miałym i nie przemawiał tak potężnie do każdego uczucia, krocząc już po drodze dopiero przyszłym wiekom właściwej.

Nie będziemy tu mówić o lodżjach Watykańskich, i o obrazkach w Farnezynie, bo jakkolwiek rozkoszne, w tak niewygodném miejscu malowane, że trudno na nie patrzać, tak liczne i drobne, że nie zostają w pamięci — i wreszcie nic nowego nie powiedzą o poczuciu piękna u Rafaela; w innych komnatach Watykanu pobawimy trochę, bez owych wzruszeń, które nam dała *Stanza della Segnatura* i niespotykając miłości przemawiającej z Madon i także z dogii i fresków mitologicznych Farnezyny — a jednak zrobimy studyum ciekawe. Najpierw staniemy przed obrazami historycznemi ściśle, i pojmiemy jak mógł idealista ów trwający w spokojnej równowadze pojąć dramata dziejów. Mamy tu na myśli trzy kompozycye wielkie: „Wygnanie Heliodora ze świątyni,“ „powstrzymanie Atyli“ i „oswobodzenie Piotra świętego.“ A każda z nich pojęta pod pewnym względem inaczej.

„W wygnaniu Heliodora“ widzimy puste prawie przestrzenie świątyni Jerozolimskiej wśród której modli się w głębi, w kapliczce jakiejś samotny starzec w kapłańskiej szacie. Z obu stron na pierwszym planie pełno ruchu, ale środek próżny, tak że w tej części widać tylko ową samotną postać w głębi, i że zachowana i tu wśród swobodnego ruchu syme trya którą Rafael wszystkie swoje utwory w ład ujmował. Akcya główna dzieje się po prawej ręce widza. Heliodor, który wraz z Syrejskimi żołnierzami przybył świątynię gwałcić, leży powalony na ziemi, a nad nim stanął dęba koń anielski, i nieskrzydlaty archanielski jeździec trzęsie hetmańską laską. Cała zgraja Heliodora, brzydka jak on, w krzykliwem zamieszaniu ucieka, unosząc gdzie niegdzie łupy kościelne, a dwa inne piesze, ale także nieskrzydlate, i niezbrojne nawet anioły towarzyszą Michałowi w pogoni.

Z przeciwległej lewej strony klęczą przerażone i gwałtownie wzruszone niewiasty, a kilku mężów w strojach szesnastego wieku wnosi siedzącego na krześle papieża Juliusza IIgo.

Nie trzeba mówić, że postać każda malowana doskonale, że drga życiem, i że zadziwia wykonaniem. Zastanowimy się tedy tylko nad pomysłem. Jest on niezawodnie prosty i jasny— choć go Juliusz II wikła i psuje — pokój Rafaelowski ustąpił, bo ruch, i dramatyczne wzruszenie były koniecznością. Widać na twarzach pojedyńczych postaci różnorodne namiętne wzruszenia, ale nie współczuwamy bynajmniej z przestrachem Heliodora, i jego towarzyszy, i owszem cieszymy się ich klęską, a radujemy się wspólnie z Aniołami, z niewiastami i arcykapłanem, wspólnie z nimi czujemy gwałtowne wzruszenie czynu, zemsty i zwycięztwa. A to wszystko zdobyte tem, że strona Heliodora fizycznie brzydka więc dla oka niemiła, a strona przeciwna fizycznie piękna i cała miotana jednem gwałownem uczuciem i zgodną namiętnością, w różnych fazach. Arcykapłan się modli, niewiasty wołają o pomoc, aniołowie zwyciężają, ale wszystkich myśl jedna— a kapłana modlitwa wskazuje, że to myśl bogobojna, a tryumf aniołów i widza tryumfem. Gdy dopowiemy jeszcze, że wszystkie szczegóły stroju, architektury i zbroi wykonane starannie, pojmiemy, że to nielada koncepcya historyczna co nas w dawne czasy przenosi, i co nam się każe cieszyć dawnym czynem, i dawnem zwycięztwem. Tylko ów Juliusz II razi. Po cóż go wnoszą? Niestety dla dworskiego ukłonu — a może i dla patryotycznego wspomnienia. On to pomógł Francuzów wygnać z Włoch będących dla Rafaela nową świątynią Salomonową i dla tego to Juliusz ów nas bałamuci. Prócz tego powiemy jeszcze że przedmiot przez to mniej silne budzi złudzenie że układ tej sceny historycznej może aż nadto jasny i prosty, ale przez to obraz zyskuje o wiele na zrozumiałości.

Spokojniejszem powstrzymanie Atylli. I tu jesteśmy świadkami zwycięztwa przedstawionego po prostu, a tym razem z dziwną prawdą. Środek próżny zupełnie, a rzecz dzieje się na wielkiej równinie. Na lewo od widza stanęło konno, spokojnie, kilku księży, pomiędzy którymi jest i papież znaczny po ornacie i tyarze. Z przeciwnej strony podobnież konny orszak Atylli, groźny zbrojami, a namiętny ruchem. Siła fizyczna po stronie najezdcy, ale zwycięztwo stanęło po stronie papieża broniącego ojczyzny. Papież Leon dźwignął rękę pouczając, a nad nim zjawili się w powietrzu aniołowie. To też Atylla i koń jego miotają się dziko, porażeni potęgą zwycięzkiego patryotycznego słowa. I tu wśród tej swobodnej i prostej kompozycyi wyraźne zwycięztwo, i tu niewahamy się i chwili, jedno ze zwycięzcą współczuwany, a to nie dla fizycznej piękności, która wszędzie równo podzielona, ale dla tego, że po wyrazie i postawie widzimy, że Leon bronił ojczyzny i prawa — a bronił odwagą pełną poświęcenia i pokojem słuszności, gdy przeciwnie Atylla widocznie przyszedł niszczyć i podbijać przemocą i orężem. Więc radujemy się zwycięztwem ducha i cnoty, i wraz z nimi zwyciężamy. To może najlepszy w świecie obraz historyczny, obraz co człowieka najwyżej wznosi, co mu każe myśleć, że może we własnem sercu znaleść siłę większą od wszelkiej cielesnej przemocy, i że wolność jego od niego tylko a nie od zewnętrznych przyczyn zależy.

Czy uwolnienie Piotra w równej mierze zasługuje na imię historycznej kompozycyi? Wątpimy, i to bardzo — nie jest to jednak i obraz rodzajowy. Interes estetyczny nieześrodkowuje się tu około wypadku dziejowego, choć i tu dobra sprawa święci swój tryumf. Przeciwnie, chodzi tu najwidoczniej przedewszystkiem o oddanie piękna obcego zresztą Rafaelowi, a mianowicie piękna oświeceń jasnych i rozmaitych wśród nocy. Pośrodku widać przez kratę oświecone cudowne więzienie apostoła, w którem apostoł i pancerny stróż usnęli, i w którem się zjawił anioł promienny — oswobodziciel. Na prawo od widza anioł wyprowadza zadziwionego apostoła w spokojną księżycową noc, wśród której jego promienie świecą, ale której nie napełniły nadprzyrodzonym blaskiem; na lewo szukają zbudzeni strażnicy zbiega przy księżycu, biegnąc i zapaliwszy pochodnie. Światło anioła, blask pochodni i promienie księżyca walczą tu z nocą, i w różne sposoby cieszą widza światłem tem milszem, że wyszło z ciemności. I tu Rafael dowiódł, że rozumiał wszelkie piękne barwy i światła, podobnie jak piękno linii i ducha.

A teraz przejdziemy do tego, co nazwiemy rodzajowemi, choć heroicznemi zawsze obrazami Rafaela, jest ich w Watykanie więcej, ale my pomówimy tylko o „Bitwie“ i „Pożarze,“ a nazywamy te freski kolosalne rodzajowemi, dla tego, że lubo mają niby się odnosić do wypadków jakicheś historycznych, nie mają historycznego interesu, nie wołają naszych sympatyi ani na tę, ani na ową stronę, i wyobrażają po prostu bitwę i pożar w ideale, wypadki jaskrawe ale niekonieczne w życiu ludzkiem, na które się Rafael swoim zwyczajem z góry popatrzył.

Wśród pożaru panuje chaos — tak jak być powinno. Nie ma tu grup symetrycznych, i nieład zrazu niemiło razi oko, i do końca nie przestaje przeszkadzać w używaniu. Ale nie zapomina o żadnym szczególe pożaru. Są i krzyczące dzieci, jest i dama przerażona, co widocznie z sypialni wybiegła, jest syn co pięknie, jak niegdyś Eneasz ojca wynosi z płomieni, sam nagi i dźwigający nagiego starca — widać młodzież co się z piątra nago spuszcza, i niemowlę które podają z góry, by je przed ognistą śmiercią wybawić, i dziewkę, co wodę do gaszenia wrzeszcząc przynosi, i wreszcie księdza co procesyonalnie przychodzi ogień modlitwą zgasić. Ani centralnego zajęcia, ani myśli wspólnej nie ma, a cieszysz się o tyle tym obrazem, o ile widzisz na nim znane ci sceny ożywione przez idealnie piękne postacie.

Bitwa, wykonana podobnoś przez Gnilia Romana jaśniejsza, i jakoś bardziej zająć potrafi. Widać walkę z klasyczna przystrojonych wojsk, w chwili, w której jedno się łamie i pierzchać zaczyna, wpadając w ucieczce do rzeki. Ruch pogoni jak każdy ruch we wszystkich obrazach Rafaela idzie z lewej na prawą rękę, tak jak pismo i druk; i dzięki temu rzecz dla nas zrozumialsza, bo że tak rzekę, czytamy obrazy mistrza tak jakby jaką kartkę, a tu ruch ten cały, żywy jak ruch bitwy, przedziwnie urozmaicony. Pośrodku, góruje nad wojskami obydwoma wódz zwycięzki cwałujący na koniu, nawołujący swoich żołnierzy i ciskający-włócznią. Patrząc na całość czujemy, my mężczyźni przynajmniej, że krew się w nas gotuje, i czujemy wielkie pragnienie ruchu, i jakby jakiś odwdzięk dzikiego szału bitwy i upojenia krwią, a czujemy przytem spokojne zadowolnienie artystyczne, bo nic tu zganić niepodobna, bo ludzie piękni, i konie piękne, i układ jasny, i dramat boju w zupełności oddany. Spytamy się tylko, co znaczą owi aniołowie co się unoszą nad głową wodza? Wszak ich w bitwach nie ma.

Rafael byłby odpowiedzał: „Są w bitwach i rozstrzygają o losie wojny. We wszystkiem co lzdkie trzeha szukać za myślą tylko, tak jak w świecie kształtu ciała szukałem zą ogólną myślą rodzaju, i tem odtwarzałem linearne piękno. Nie jest ci pięknością i istotą ludzkości owo mrowisko co zalega i wsie, i miasta, co się kłóci o grosz, co intryguje o władzę, co zmysłowo kocha i popełnia zbrodnie, i chodzi w bogactwie — istotą ludzkości poczucie prawa, miłość nadziemskiego ideału, twórcza potęga wyobraźni, i badawcze poznanie rzeczy. I dla tego tom odmalował w Stanza della Segnatura, gdy mi kazano przedstawić ludzkość w całokształcie i w idealnej istocie swojej. A i we wszystkich innych freskach Watykanu malowałem jako owa moc duchowna zwycięża ciało, jako wyższa istota człowieka zwyciężała niższą jego naturę. Aniołowie w wygnaniu Heliodora i w powstrzymaniu Atylli, to tylko obrazy owego duchownego oburzenia, co powstaje w łonie narodu gdy jego wiarę prześladują, albo jego cywilizacyi grożą— a anioł nad głową wodza w bitwie, to znamię jeniuszu co daje zwycięztwo — boć przecie zwycięztwa nie daje cielesne tylko ramię.“

(C. d. n.)

DZIENNIKARSTWO
I KRYTYKA WSPÓŁCZESNA

przez

EMILA ZOLĘ.

Ostatnie piętnastolecie nie wydało ani jednego wielkiego krytyka. Brak w tej dziedzinie ludzi aż nadto widoczny. Dodać zarazem wypada, że chyba nigdy nie było okoliczności w dziedzinię tej bardziej opłakanych. Przedewszystkiem zaś zauważyć muszę, że jedną z owych fatalnych okoliczności jest pewnego rodzaju ujemna transformacya, jakiej uległa dziennikarska prasa współczesna.

Przed dwudziestu laty dziennik był organem poważnym, nieco ciężkim a może i nieco nudnym. Wszystkie kolumny dziennika wypełniała polityka i literatura. Prenumerowano dzienniki przez sympatyę, wyczekiwano artykułów a odczytywano je z religijnym niemal nastrojem, choćby artykuły te były najdłuższe. W owej szczęśliwej epoce krytyka wychodziła na publiczną widownię z prawdziwem zadowoleniem. Nie spieszyła się ona bynajmniej — trzeba było czekać jej przybycia kilka miesięcy zanim wygłosiła wnioski swe o ostatniej książce długiemi motywowane wywodami. Sami czytelnicy z niecierpliwością wyczekiwali sądu.

Wszystko to jednak zmieniło się zupełnie. Obecnie dziennik, zdaje się jak gdyby postanowił za drzwi wygnać literaturę. Tak zwane *rozmaitości*, pod różnemi nazwami i tytułami, podbiły pod swą władzę wszystkie cztery stronnice dziennika. Narodziła się prasa informacyjna. Nie chodzi nam dziś bynajmniej o rozbiór książki lub jakiejś kwestyi literackiej. Z zapałem podajemy długą opowieść o wypadku, jaki się przytrafił wczoraj w Café anglais lub za kulisami teatru Bouffes; o zbrodni jaką popełniono ubiegłej nocy rozpisujemy się szeroko, kreślemy portret ofiary i szczegóły dotyczące jej skrwawionych wnętrzności.

Pojmujecie czytelnicy jaki cios zadała prasa informacyjna krytyce. Długie studya, rozumnie obmyślane, sumiennie kreślone, przepadły gdzieś na długo; za wiele one widocznie miejsca zajmowały. Naczelni redaktorowie doszli do przekonania, że długie artykuły stały się niepoczytne. Przestaliśmy też wreszcie domagać się od krytyka sumienności i sprawiedliwości. I pocóż zresztą!... Oto raczej, domagać się poczęto, aby sprawozdanie o książce wydrukowanem być mogło nazajutrz po wyjściu książki lub też nawet w wilią jej przyjścia na świat... Wszelkie przygotowawcze studya okazały się zbyteczne. Nawet czytać przestano. Krytyk rozszarpawszy pojedyńcze rozdziały, chwyta tu i owdzie po słówku; wystarcza mu powierzchowne poznanie książki dla skreślenia żądanych od krytyka pięćdziesięciu lub stu wierszy.

Często krytyk pomija nawet samą książkę, którą miał osądzić; prawi o byle czem, z powodu samego dzieła i na tem poprzestaje. Najważniejszą dlań rzeczą jest to, aby uprzedzić współzawodniczące z nim dzienniki w skreśleniu danej wiadomości sprawozdawczej. Wśród podobnych okoliczności byłoby pożądanem, aby krytyk poprzestał na parowierszowej wiadomości o publikacyi dzieła. Nieszczęściem jednak obawiamy ograniczyć się na tej suchej informacyi. Krytyk sądzi, iż należy ożywić wiadomość skreśleniem kilku refleksyi, chwali on lub karci zależnie od humoru. Żaden z nich nie posiada metody indywidualnej. Podaje on stosy błędnych sądów i potworności. Widok jaki się nam przedstawia w prasie po wydaniu jakiegoś dzieła, jest zaprawdę rozpaczliwym. Aby się przekonać o upadku krytyki we Francyi, dostatecznem jest zebrać wszystkie artykuły wydrukowane o danem dziele; spostrzeglibyśmy wówczas, że jest to zbiór próbek najbardziej zdumiewających ludzkich podłości.

Obawa znudzenia czytelnika zabiła sumienne studya. Przyzwyczailiśmy publiczność do pobieżnego odczytywania dzienników. Czytelnik pochłania drobne wiadomości — reszta zostaje nietknięta okiem i myślą czytelnika. Jakże wreszcie żądać od człowieka trawionego gorączkowem życiem, aby poświęcił piętnaście minut czytaniu poważniejszego artykułu? Prócz tego należałoby zastanowić się nieco nad przejrzaną pracą, wysilić swą inteligencyą, coby już równało się nieszczęściu. Przytem czytelnik pragnąłby uniknąć trwalszego usadowienia się w jego mózgu pewnego szeregu idei — gdyż zapał i wzruszenie poetyczne szkodzi trawieniu.

Wystrzegamy się tedy przedewszystkiem doktryny — gdyż doktryna ośmiesza. Najwygodniejszą rzeczą jest posuwać się na oślep, dowodząc dziś, że czarnem jest to, co się nam białem wydało wczoraj, pochlebiając motłochowi powtarzaniem tego co motłoch powtarza. Ztąd też pochodzi owa powtorna błazenerya, z jaką spotykamy się w prasie. Spróbójcie, nazajutrz np. po jakiemś przedstawieniu, przeczytać dwanaście sprawozdań, a jestem przekonany, że niesmak i wściekłość ściśnie was za gardło.

Wspomnijcie o podobnym stanie rzeczy dyrektorowi dziennika, a odpowie wam, że zmuszony jest zaspakajać żądania publiczności. Nie czyni sobie ów dyrektor żadnych z tego powodu wyrzutów sumienia, czuwac on bowiem musi przedewszystkiem nad powodzeniem dziennika. Publiczność domaga się informacyjnych wiadomości, któremi też publiczność zasypać należy; nic nadto praktyczniejszego. Zapewne, literatura na tem traci, lecz — cóż robić?

Wedle nowego systemu dziennik powinien być sfabrykowanym w ciągu kilku godzin w miarę przybywających wiadomości. Ponieważ trudno jest rachować się z jakością, należy więc wziąć pod uwagę ilość. Wiele dzienników drukujących się o północy, podaje rozbiór nowych sztuk zaraz nazajutrz po pierwszem przedstawieniu utworu. Tak więc redaktor zmuszony jest być obecnym na próbie generalnej lub też wyjść z teatru przed ukończeniem ostatniego aktu, aby dopisać zakończenie artykułu, gdyż maszyna czeka. Proszę mi tedy powiedzieć jaki sąd o sztuce wydać może krytyk, nie mając nawet czasu zastanowić się nad swemi wrażeniami, nie znając często rozwiązania dramatu lub komedyi. Tak więc krytyka zepchniętą zostaje do rzędu anonsu, zredagowanego kiepską francuszczyzną.

W dziennikach tolerują się takie tylko długie artykuły, które się fabrykują przy pomocy tak zwanych wyciągów z nowych książek. To też redaktorowie starają się o listy korektowe przed wypuszczeniem na świat boży dzieła, z którego wycinają najbardziej zajmujące rozdziały, sklejane kilkoma wierszami przez redaktorów i podawanych jako nowalię. Władczyni publiczność zachwyca się... W podobnych razach nie narzucają jej żadnej opinii; publiczność nie ma potrzeby odczytywać całego dzieła, gdyż odczytawszy wyciągi, zapoznaje się z niemi o tyle, że może o nim wyrokować stanowczo. Wierzę bardzo, że taktyka ta bardzo jest dogodną dla autorów — ale chodzi mi o zaznaczenie podobnych faktów.

W ogóle zresztą, słabszego kalibru autorowie nie żądają bynajmniej od przychylnych sobie dzienników krytycznych studyów. Wolą oni stokroć, aby kronikarz wspomniał o ich dziełach w kronice między finansowym skanda m a głośnym jakimś procesem. W tej rubryce bowiem pochwaleni autorowie mają pewność, że Paryż cały dowie się o istności ich książek. Mimo skrócenia studyów krytycznych czytelnik je przebiega, powstrzymując się od ziewania. Przyznać wypada, że kronikarze stali się krytykami najbardziej wpływowymi w bieżącej epoce. Niektórzy z nich decydują o sprzedaży i ilości edycyi.

Pragnąłbym, aby mnie nie posądzono o zbytni pesymizm. Dzienniki informacyjne są czynnikami literackiego przewrotu — trują one codziennie publiczność. Choroba, o której mówimy, tak jest wielką, że dotknęła ona najpoważniejsze nawet dzienniki. Żadna gazeta nie zdołała ustrzedz się tej zarazy. Nie ma wątpliwości, że w prasie francuskiej nie brak bynajmniej dzienników redagowanych z dawną godnością i powagą. Lecz proszę przypatrzeć się nawet tym dziennikom zbliska, a przekonacie się, że i tu zły duch czasu poczynił wyraźne szczerby. Szanowne owe dzienniki postanowiły się odmłodzić, wprowadziły więc, rozszerzywszy „rozmaitości,“ materyał kronikarski. Dzienniki te zresztą, drukują dość często studya o szerokich zarysach; lecz i tu literatura zdaje się stanowić pewnego rodzaju brzemie redakcyjne, które znoszą dzienniki jedynie dla tego tylko, aby nie zerwać zupełnie ze swemi tradycyami.

Dzienniki informacyjne cieszą się olbrzymiem powodzeniem. Odbijają one dziennie po 50.000 egzemplarzy; poważniejsze natomiast gazety odbijają tylko od 15—20,000 egzemplarzy.

Takim jest obecny stan rzeczy. Literatura została cofnięta na plan drugi — książka stała się postrachem. Niektóre dzienniki zupełnie zerwały ze studyami krytycznemi. Niektóre znów mające opinię literacką, opierają na się dawnej swej opinii. Polityka pochłania wszystko, i nie tylko polityka, i giełda także, trybunały, buletyny metereologiczne i t. d. Jedynie książka tylko uważaną jest jako zbytek niepotrzebny, jako pierwiastek bezowocnego interesu.

Teatra, zaprawdę, szczęśliwsze są pod tym względem. Wodewil idyotyczny więcej wywołuje wrzawy w prasie niż powieść znaczniejszej wagi. Dowód, że teatr posiada pewne strony nie mające nic wspólnego z literaturą. Kronikarze dramatyczni, dla ożywienia swych artykułów, częstują czytelników przygodami aktorskiemi, zakulisowemi tajemnicami, całą tą zawieruchą światła teatralnego, który tyle sprawia wrzawy. Kronikarze dokładają wszelkich starań, aby nie znudzić czytelników teatralną gawędą. Dziennikarska harmonia książek dowodzi, że mają one nieszczęście nie być niedorzecznemi, i że nie podobają się kobietom.

Z tem wszystkiem, nie należy sądzić, że dziennikarze informacyjni nie umieją krytykować. Przeciwnie — krytyki jest nazbyt wiele, wszyscy ludzie krytykują — ale jak? Podobnie też dzieje się często z kronikarzami, którzy w kronikarskim Babelu, przemawiają wszystkimi językami, wyjąwszy językiem prawdy i sprawiedliwości.

Streszczając to cośmy wyżej powiedzieli o prasie informacyjnej, dochodzimy do przekonania, że prasa dzienna sprowadziła upadek krytyki.

Jakkolwiek dziennikarstwo obecne poniżyło

krytyka, nie sądzimy jednak, abyśmy nie mieli się doczekać potężnej jakiejś krytycznej głowy, którąby wpływem swym wywołać mogła reformę w tak ważnej dziedzinie literatury i ludzkiego myślenia. *X.*

ANIOŁ UMARŁY.

Pod srebrnolistnych bzów osłoną,
Hymn zawodzących senny —
Anioł, na pościel mchów zieloną
Padł, śpiący, czy kamienny.

Draperya szaty wpół go słoni,
Na czele spokój grecki,
Łańcuch splecionych oparł dłoni
Na lutni — staroświeckiej,

Dziecięcy uśmiech mu z oblicza
Ku niebu zda się wzlata,
Na czole tęskna, tajemnicza
Przystygła myśl z za świata.

Na rozłożonych skrzydeł bieli,
Na cichej tej mogile,
Spoczął, jak gdyby z tej pościeli
Ulecieć miał za chwilę.

I pieśnią życia w swojej lutni
Kamienną pierś uderzyć,
Ażby zwątpieni, ażby smutni
Zaczęli w szczęście wierzyć!

I z ziemskich mroków tam nad słońca
Ludzkości wznieść spojrzenia!
Ciemnym ukazać dzień bez końca,
Złamanym — kres cierpienia.

— Lecz płyną lata — życia drogą
Przechodzą — tłumy ludzi,
A ja nie słyszę od nikogo
Że się ten Anioł — zbudzi!

Budowę wielką wznoszą karły
Fabrykę zysków sławną,
I mówią mi, że on umarły
Już dawno, bardzo dawno!

I chcąc przekonać napis stary
Czytają mi z kolei,
Że tutaj grób — poezyi, wiary,
Miłości, i — nadziei!

Październik 1878.

Marja B.

KARTKA MIŁOŚCI.

POWIEŚĆ EMILA ZOLI.

Spolszczyła

WINCENTA LIMANOWSKA.

CZĘŚĆ PIĄTA.

(Ciąg dalszy).

II.

Nazajutrz same praktyczne myśli zaprzątały Helenę. Zbudziła się z poczuciem konieczności czuwania nad swojem szczęściem; drżała z obawy, by nie utracić Henryka przez nieostrożność jaką. W tej porannej, chłodnej godzinie, kiedy pokój spał jeszcze, uwielbiała go, pożądała całą istotą swą. Nigdy jeszcze dotąd nie chodziło jej o to, by być zręczną. Teraz zaś pierwszą jej myślą było, że powinna zobaczyć się z Julią tegoż rana jeszcze. Takim sposobem tylko uniknąć potrafi niedogodnych objaśnień i badań, które wszystko mogą popsuć.

Kiedy przyszła do pani Deberle około dziewiątej godziny, znalazła ją bladą i z oczami zaczerwienionemi, jak heroina dramatu. Biedna kobieta, jak tylko ją ujrzała, płacząc, rzuciła się w jej objęcia, nazywając ją swoim dobrym aniołem. Nie kochała wcale tego Malignon'a, oh! przysięgała na to! Mój Boże! co za głupia przygoda! Byłaby umarła, to rzecz pewna! bo teraz czuła, że nie jest wcale stworzona do podobnych rzeczy do kłamstw, cierpień i tyranii uczucia zawsze jednego i tegoż samego. Jakże się czuła szczęśliwą, odzyskując wolność! Śmiała się z zadowolenia; potem znowu szlochała, błagając przyjaciółkę, by nie pogardzała nią. Na dnie tej gorączki krył się przestrach; sądziła, że mąż jej wie o wszystkiem. Dnia poprzedzającego wrócił wzburzony. Zasypała Helenę pytaniami. Ta z zuchwalstwem i łatwością, które ją samą dziwiły, opowiedziała jej historyą jakąś z rozmaitymi szczegółami, które, jeden po drugim mówiąc, wymyślała. Upewniała ją, że mąż nie wie o niczem. Ona to sama, dowiedziawszy się o wszystkiem i chcąc ją uratować, postanowiła przerwać ich schadzkę. Julia słuchała ją, uwierzyła bajce i twarz jej zajaśniała radością z pośród łez. Raz jeszcze, rzuciła się jej na szyję. Pieszczoty te nie sprawiały już teraz Helenie najmniejszej przykrości; nie doznawała żadnych skrupułów, które dawniej tyle ją męczyły. Poleciwszy Julii, by się zachowywała spokojnie, pożegnała ją i wyszła uszczęśliwiona, śmiejąc się w duszy ze swej zręczności.

Minęło dni kilka. Cały porządek życia Heleny zmienił się; myślą wszystkich chwil dnia żyła nie u siebie, ale u Henryka. Na całym świecie istniał dla niej tylko ten mały sąsiedni dom, w którym jego serce biło. Pod rozmaitymi pozorami biegła tam i zapominała się, uszczęśliwiona, że oddycha temże co on powietrzem.

W początkowym tym zachwycie z posiadania ukochanego, widok Julii rozczulał ją jako przedmiot, należący do niego. Pomimo to jednak, Henryk nie mógł widzieć się z nią sam na sam. Zdawała się z umysłu opóźniać chwilę drugiej schadzki. Jednego wieczora, kiedy ją przeprowadzał do przedpokoju, wymogła na nim obietnicę, że nie wrócą już nigdy do domu w pasażu Wód, bo toby ją skompromitowało. Oboje drżeli na myśl namiętnego uścisku, którym się spotkają znowu, sami nie wiedzieli gdzie i kiedy. Helena pożerana tą żądzą, żyła odtąd tylko dla tej chwili, obojętna dla innych; dnie całe marzyła o niej szczęśliwa; w szczęściu tem chwilowy tylko niepokój drażnił ją, gdy usłyszała koło siebie kaszel Joanny.

Joanna miała kaszel suchy, częsty, który wzmagał się szczególnie pod wieczór. Dostawała też wówczas lekkiej gorączki; pociła się bardzo podczas snu, co ją mocno osłabiało. Kiedy matka zapytywała ją, odpowiadała, że nie jest chora, że nic ją nie boli. Był to zapewne koniec kataru. Helena uspakajała się, nie mając dokładnego pojęcia o tem, co się koło niej działo; pomimo jednak zachwytu, w którym żyła, czuła niewyraźnie ból jakiś, jak gdyby ciężar, który ją przygniatał, raniąc sama nie wiedziała gdzie. Czasami wśród radości, która często teraz bez przyczyny zalewała jej serce, nagły niepokój chwytał ją; zdawało się jej, że nieszczęście jakieś stoi tuż za nią. Obracała się i uśmiechała. Kto nadto szczęśliwy jest, ten zawsze drży. Nikogo nie było za nią. Joanna zakaszlała była, ale piła ziółka, to przejdzie.

Jednego popołudnia stary doktor Bodin, który przychodził jako przyjaciel domu, dłużej niż zwykle zatrzymał się i zafrasowany małemi swemi niebieskiemi oczkami z boku przypatrywał Joannie. Bawiąc się uiby, rozpytywał ją. Dnia tego nic nie powiedział. Ale w parę dni potem pojawił się znowu, i teraz już nie badając wcale Joanny, z wesołością człowieka, który widział dużo rzeczy, zwrócił rozmowę na podróże. Służył niegdyś jako chirurg wojskowy i znał całe Włochy. Był to kraj przepyszny, który wiosną szczególnie podziwiać należało. Dla czego pani Grandjean nie miałaby tam pojechać z córką? I tak zręcznie kołując, doszedł do tego, że radził dłuższy pobyt w tym kraju słońca, jak go nazywał. Gdy to mówił, Helena nie spuszczała z niego oka. Zaczął się wówczas tłumaczyć, że żadna z nich nie jest chora, tylko, że zdaniem jego, zmiana powietrza wszystkich odmładza zwykle. Na myśl opuszczenia Paryża, Helena śmiertelnie zbladła; zimny dreszcz przeszedł ją. Mój Boże! odjechać tak daleko, tak daleko! nagle utracić Henryka i pozostawić miłość bez jutra! Taką uczuła rozpacz na myśl tę, że chcąc ukryć pomięszanie swe, pochyliła się ku Joannie. Czy Joanna chciała jechać? Dziecię splotło swe małe paluszki jak gdyby zziembnięte. O tak! bardzo chciała! chciała bardzo pojechać do słońca, we dwie tylko, ona i mama, oh! tylko we dwie; na biednej szczupłej twarzyczce, której policzki pałały gorączką, zabłysła nadzieja nowego życia. Ale Helena nie słuchała już; oburzona, przekonana, że cały świat zmówił się na nią, ksiądz, doktor Bodin, a nawet Joanna, by ją rozdzielić z Henrykiem. Widząc ją tak bladą, stary doktor sądził, że był nie dość ostrożnym; spiesznie więc dodał, że nie ma w tem nic pilnego, ale zarazem postanowił wznowić wkrótce tę rozmowę.

Właśnie dnia tego pani Deberle miała nie wychodzić z domu. Po wyjściu doktora, Helena chwyciła natychmiast kapelusz. Joanna nie chciała iść; lepiej jej było koło ognia; obiecała być grzeczną i nie otwierać okna. Od jakiegoś czasu nie pragnęła już towarzyszyć matce; długiem spojrzeniem przeprowadzała tylko wychodzącą. A potem, gdy pozostała sama, kurczyła się na swem krzesełku i tak nieruchomie siedziała godzinami całemi.

— Mamo, czy to daleko Włochy—spytała— kiedy Helena zbliżyła się dla pocałowania jej.

— Oh! bardzo daleko — moja pieszczotko.

Joanna trzymała ją za szyję. I nie zaraz ją puściła — szepcząc:

— I cóż? Rozalia zostałaby pilnować rzeczy. Obeszłybyśmy się bez niej... Wzięłybyśmy malutki tłomoczek... Oh! jakby to było dobrze, mateczko! My dwie tylko! Wróciłabym tłusta, ot tak, patrzaj!

Nadęła policzki i zaokrągliła ramiona.

— Zobaczymy — rzekła na to Helena.

I wyszła, polecając Rozalii, by dobrze czuwała nad panienką. Po wyjściu jej, Joanna siadła skurczona na krzesełku koło kominka i patrząc na ogień głęboko się zadumała. Od czasu do czasu machinalnie wysuwała przed ogień ręce, dla ogrzania ich. Płomień raził jej wielkie oczy. Tak była zamyślona, że nie usłyszała, kiedy pan Rambaud wszedł. Częściej teraz przychodził, jak powiadał, z powodu tej sparaliżowanej kobiety, której doktor Deberle nie mógł jeszcze dotąd umieścić w szpitalu nieuleczonych. Kiedy znajdywał Joannę samę, siadał wówczas po drugiej stronie kominka i rozmawiał z nią jak z dorosłą osobą. Bardzo to było

nieprzyjemne, że biedna kobieta czekała już od tygodnia. Pan Rambaud miał zamiar pójść zaraz do doktora, który może będzie mógł dać mu odpowiedź jaką. Pomimo to, nie ruszał się z miejsca.

— Mama nie wzięła cię z sobą? — zapytał wreszcie.

Joanna z wyrazem zmęczenia wzruszyła ramionami. Wychodzenie z domu nadto ją męczyło. Nic już ją nie bawiło teraz.

I dodała:

— Starzeję — nie mogę bawić się zawsze... Mama bawi się tam, a ja tutaj — i nie jesteśmy razem.

Nastało milczenie. Dziecię zadrżało i obie rączki wyciągnęło do ognia, jasno palącego się, w istocie, otulona ogromnym szalem, z jednym fularem na szyi, a drugim na głowie, podobna była do niemłodej kobiety. Pod całym tym stosem ubrania łatwo można było domyślić się, że dziewczynka nie większa była od chorego ptaka, dyszącego z najeżonem pierzem. Pan Rambaud z rękami, złożonemi na kolanach, patrzał na ogień. Po chwili milczenia, zwracając się znowu do Joanny — zapytał ją, czy matka wychodziła dnia poprzedzającego. Potwierdzającem skinieniem głowy odpowiedziała na to. A przedwczoraj, a onegdaj? Dziewczynka zawsze odpowiadała potakująco. Matka jej wychodziła codziennie. Pan Rambaud i Joanna przeciągle popatrzyli na siebie; twarze ich były blade i poważne, jak gdyby się dzieliły wielkim wspólnym smutkiem. Nie mówili o tem, bo stary człowiek i mała dziewczynka nie mogą mówić z sobą o tem; ale dobrze wiedzieli, dla czego było im tak smutno, i dla czego lubili siedzieć razem przy kominku, kiedy dom był pusty. Znajdowali w tem pociechę. Zbliżali się jedno do drugiego, bo wówczas mniej czuli osamotnienie swoje. Ogarniało ich rozczulenie; chcieliby ucałować się i płakać.

— Zimno ci, mój kochany — jestem tego pewna... jestem tego pewna... Zbliż się do ognia.

— Ależ nie, moja kochanko — nie zimno mi.

— Oh! kłamiesz—ręce masz zimne jak lód... Zbliż się, a nie — to się pogniewam.

Potem, on z kolei zaczynał się niepokoić.

— Pewnie nie pozostawiono ziółek dla ciebie.,. Przygotuję je, chcesz?, Oh! doskonale umiem przyrządzać je... Gdybym ja tobą się opiekował, zobaczyłabyś, nie zabrakłoby ci na niczem...

Nie pozwalali sobie mówić wyraźniej. Joanna żywo odpowiadała, że ziółka znudziły ją; za wiele ich piła już. Czasami jednak pozwalała panu Rambaud, by służył jej jak matka; podpierał ją poduszką, podawał lekarstwo, o którem możeby zapomniała, podtrzymywał ją, gdy przechodziła przez pokój. Pieszczoty te rozczulały ich oboje. Joanna z owem głębokiem wejrzeniem, którego płomień mięszał poczciwca, mówiła, że się bawią w tatę i córeczkę, kiedy mamy nie ma... Nagle smutek ogarniał ich, przestawali mówić i ukradkiem spoglądali na siebie litując się jedno nad drugiem.

Dnia tego, po długiem milczeniu, dziecię powtórzyło pytanie, które poprzednio już zadało było matce:

— Czy to daleko, Włochy?

— Oh! spodziewam się — rzekł pan Rambaud. To aż za Marsylią... Dla czego pytasz mię o to?

— Ot tak — odpowiedziała poważnie.

I zaczęła się uskarzać, że nic nie umie. Zawsze była słaba, nigdy nie chodziła na pensyą. Oboje umilkli znowu; wielkie gorąco ognia usypiało ich.

Tymczasem Helena znalazła panią Deberle i siostrę jej Paulinę w pawilionie japońskim, gdzie często siadywały po popołudniu. Było tu bardzo gorąco, duszno nawet, od wielkiego kaloryferu. Wielkie okna zamknięte były, przez nie widać było mały ogródek w stroju zimowym, podobny do ogromnej sepii jak najdokładniej narysowanej; małe czarne gałązki drzew odbijały wyraźnie na brunatnej ziemi. Siostry żywo sprzeczały się z sobę.

— Dajże mi pokój! — wołała Julia — dobrze zrozumiawszy interes nasz wymaga, byśmy podtrzymywali Turcyą.

— Ja, rozmawiałam z jednym Rosyaninem— odpowiedziała Paulina równie żywo. — Mają dla nas przyjaźń w Petersburgu, prawdziwi sprzymierzeńcy nasi są w tej stronie.

Julia z miną poważną skrzyżowała ręce:

— A cóż zrobisz wówczas z równowagą europejską?

Kwestya Wschodnia żywo zajmowała Paryż; ona jedna była przedmiotem wszystkich rozmów; kobieta, żyjąca choć cokolwiek w świecie, nie mogła bez nieprzyzwoitości mówić o czem innem. To też od dwóch dni pani Deberle z przejęciem zagłębiała się w zewnętrzną politykę. Stanowcze miała przekonania co do rozmaitych wypadków, zagrażających pewnemi następstwami. Siostra jej Paulina mocno ją gniewała; bo chcąc być oryginalną podtrzymywała Rosyą, wbrew jawnym interesom Francyi. Julia chciała ją naprzód przekonać, potem gniewała się.

— Cicho! milcz, mówisz jak głupia... Gdybyś jak ja wystudyowała była kwestyą...

Tu przerwała sobie mowę, witając wchodzącą Helenę.

— Dzień dobry, moja droga. Bardzoś uprzejma, żeś przyszła... Nic nie wiesz. Mówiono dziś rano o ultimatum. Posiedzenie Izby gmin bardzo było burzliwe.

— Nic, nie wiem nic — odrzekła Helena— mocno zadziwiona pytaniem. — Tak mało wychodzę z domu.

Zresztą, Julia nie czekała na odpowiedź. Tłumaczyła Paulinie, dla czego należało utrzymać neutralność morza Czarnego, i od czasu do czasu z wielką łatwością i bardzo poprawnie wymieniała nazwiska jenerałów angilskich i rosyjskich. W tej chwili ukazał się Hernyk, niosąc w ręce plik dzienników. Helena domyśliła się, że przyszedł dla niej. Oczy ich szukały siebie wzajemnie i mocno utkwiły jedne w drugich. Potem w długiem, milczącem ściśnieniu ręki objęli siebie wzajemnie.

— Cóż tam jest w dzisiejszych dziennikach?— gorączkowo spytała Julia.

— W dziennikach, moja droga? — rzekł doktor; — ależ w nich nigdy nic nie ma.

Na chwilę zapomniano o kwestyi Wschodniej. Kilka razy wspomniano jakąś osobę, na którą oczekiwano, a która nie przybywała. Paulina zauważała, że trzecia godzina nadchodzi. Oh! przyjdzie z pewnością, twierdziła pani Deberle; zapewnił o tem bardzo uroczyście i nie wymieniała nikogo. Helena słuchała, nie słysząc. Nie zajmowało ją nic, co nie było Henrykiem. Nie przynosiła już z sobą roboty; siedziała po parę godzin, nie biorąc żadnego udziału w rozmowie, z myślą zajętą nieraz jakiemś dziecinnem marzeniem, wyobrażając sobie, że wszyscy znikali cudem, i ona pozostawała sama z Henrykiem. Pomimo to jednak, odpowiadała rozpytującej ją Julii, podczas kiedy wzrok Henryka, wciąż w nią utkwiony, rozkosznie ją niepokoił.

— Dzwoni ktoś, to zapewne on — rzekła nagle Paulina.

Obie siostry przybrały minę obojętną. Był to Malignon, bardzo starannie ubrany i troszkę poważny. Uścisnął ręce, które wyciągnęły się ku niemu; ale nie żartował jak zwykle; etykietalnie wracał do domu, gdzie nie bywał już od jakiegoś czasu. Podczas kiedy doktor i Paulina wymawiali mu, że go tak mało widzą, Julia pochyliła się do ucha Heleny, która pomimo swej niezmiernej obojętności na wszystko, miała teraz minę zadziwioną.

— A co? dziwisz się?... Mój Boże! nie mam do niego pretensyi. W gruncie, dobry to bardzo chłopiec, niepodobna gniewac się długo na niego... Wyobraź sobie, wyszukał męża dla Pauliny. To ślicznie, nieprawdaż?

— Zapewne — szepnęła Helena przez grzeczność.

— Tak, jeden z jego przyjaciół, bardzo bogaty, i który wcale nie zamyślał żenić się; obiecał nam przyprowadzić go... Czekaliśmy na niego dzisiaj, miał dać stanowczą odpowiedź... A zatem, pojmujesz sama, musiałam pominąć wiele rzeczy. Oh! nie ma już niebezpieczeństwa, znamy się teraz dobrze.

Ładnie się zaśmiała, trochę zarumieniła na wywołane wspomnienie; potem żywo zajęła się Malignon'em. Helena uśmiechnęła się również. Światowa ta łatwość życia tłumaczyła ją również. Niepotrzebnie zaprzątano sobie głowy czarnymi dramatami, wszystko się rozwiązywało z nader miłą dobrodusznością. Podczas kiedy tak lubowała się w tej haniebnej myśli, że nie ma nic na świecie zakazanego, Julia i Paulina otworzyły drzwi pawilionu i uprowadziły z sobą Malignon'a do ogrodu. Nagle Helena usłyszała po za sobą głos Henryka stłumiony i błagalny:

— Proszę cię, Heleno, oh! proszę cię...

Zadrżała i niespokojnie obejrzała się dokoła. Byli zupełnie sami; tamtych troje powoli chodziło aleą. Henryk ośmielił się objąć ją; ona drżała, ale była w upojeniu.

— Kiedy zechcesz — szepnęła, rozumiejąc dobrze, iż prosi ją o schadzkę.

I szybko zamienili z sobą słów kilka.

— Czekaj na mnie dziś wieczór, w tym domu pasażu Wód.

— Nie, nie mogę... Mówiłam ci już, obie całeś mi...

— A więc gdzie indziej, gdzie zechcesz, bylebym widział cię... U ciebie, tej nocy?

Oburzyła się na to. Ale ruchem głowy tylko odmówiła, bo nowy strach ją zdjął, widząc, że Malignon i dwie panie wracali. Pani Deberle odprowadziła była młodego człowieka, pod pozorem pokazania mu osobliwości jednej, to jest fiołków, kwitnących pomimo zimna. Teraz przyspieszyła kroku i rozpromieniona weszła naprzód.

— Skończono! — rzekła.

— Co takiego? — spytała Helena, nie mogąc się jeszcze otrząsnąć z doznanego wrażenia i nie pamiętając już o tem, co jej powiedziała Julia.

— Ależ to małżeństwo!... Oto pozbędziemy się kłopotu! Paulina zaczynała zawadzać już... Młody człowiek widział ją, podobała mu się bardzo. Jutro wszyscy będziemy na obiedzie u papy... Byłabym ucałowała Malignon'a za tę dobrą wiadomość.

Henryk, nie tracąc wcale zimnej krwi, powoli odsunął się od Heleny. On także zachwycał się Malignon'em. Zdawał się mocno cieszyć wraz żoną, że los ich małej siostrzyczki ustali się. Przestrzegł Helenę, że traci jednę ze swych rękawiczek. Podziękowała mu. W ogrodzie słychać było żartobliwy głos Pauliny; pochylała się ku Malignon'owi, szeptała mu coś na ucho i wybuchała śmiechem, kiedy ten również odpowiadał jej szeptem. Zapewne mówili o przyszłym narzeczonym. Przez otwarte drzwi pawilonu Helena z rozkoszą oddychała świeżem powietrzem.

W tymże czasie w pokoju Heleny, Joanna i pan Rambaud milczeli; ciepło kominka sprowadziło na nich pewną odrętwiałość. Nagle dziecię, przerywając długie milczenie, zadało pytanie, będące jak gdyby zakończeniem marzenia jej:

— Czy chcesz, żebyśmy poszli do kuchni?... Może zobaczymy ztamtąd mamę.

— I owszem, chodźmy — odrzekł pan Rambaud.

Dnia tego była cokolwiek silniejsza. O własnych siłach przeszła do kuchni i zbliżyła twarz swą do szyby. Pan Rambaud także patrzał na ogród. Nie było jeszcze liści i przez wielkie czyste szyby wyraźnie widać było wnętrze japońskiego pawilionu. Rozalia, zajęta obiadem, nazywała panienkę ciekawską. Ale dziecię poznało suknię matki i pokazywało ją, przyciskając twarz do szyby, by lepiej widzieć. Tymczasem Paulina podniosła głowę i zaczęła dawać jej znaki jakieś. Helena ukazała się także i ręką przywoływała córkę do siebie.

— Spostrzeżono panienkę — powtarzała kucharka. — Pokazują, żebyś zeszła do nich.

Pan Rambaud musiał otworzyć okno. Proszono go, by przyprowadził Joannę, wszyscy żądali tego. Joanna uciekła do pokoju, gwałtownie odmawiając i oskarżając przyjaciela swego, że umyślnie pukał do szyby. Lubiła patrzeć na swoję mamę, ale za nic nie chciała więcej chodzić do tego domu i na wszystkie proszące pytania pana Rambaud odpowiadała swojem strasznem, „dla tego że“, które miało wyjaśnić wszystko.

— To nie ty powinienbyś mię zmuszać do tego — rzekła nakoniec z ponurą miną.

Ale on powtarzał jej wciąż, że sprawi przykrość matce, i że nie można robić ludziom niegrzeczności. Okryje ją dobrze, nie będzie jej zimno, i tak mówiąc, obowiązywał ją szalem, zdejmował fular, który miała na głowie a układał mały włóczkowy kapturek. Ubrana już sprzeciwiała się jeszcze. Nakoniec dała się uprowadzić, z warunkiem wszakże, że natychmiast wróci do domu, jeżeliby się czuła nadto słaba. Odźwierna otworzyła im drzwi przechodowe; przyjęto ich w ogrodzie z okrzykami radości. Pani Deberle szczególnie okazywała Joannie wiele przyjaźni; umieściła ją w fotelu, przy lufie kaloryferu, chciała by zaraz pozamykano okna, bo powietrze było trochę za ostre jeszcze dla biednego dziecięca. Malignon wyszedł był. Helena poprawiała rozrzucone włosy małej, zawstydzona trochę, że ją tak między obcymi widziano, obwiniętą w szal i ubraną w kapturku. Julia, widząc to — zawołała:

— Dajże pokój! czyż nie jesteśmy w domowem kółku?... Biedna Joanna! brakowało jej nam.

Zadzwoniła i zapytała, czy panna Smithson i Lucyan nie wrócili jeszcze z codziennej przechadzki. Nie było ich jeszcze. Zresztą, Lucyan stał się nieznośny; dnia poprzedzającego przyprowadził do łez pięć panien Levasseur.

— Czy chcesz, żebyśmy się bawili w gołębia? — spytała Paulina, której przyszłe małżeństwo przewróciło w głowie. To nie jest męczące.

Ale Joanna odmówiła. Z pomiędzy spuszczonych rzęs długiem spojrzeniem wodziła po osobach, otaczających ją. Doktor zwiastował był właśnie panu Rambaud, że jego protegowana została nakoniec przyjęta do nieuleczonych; pan Rambaud, z wielkiem wzruszeniem ściskał ręce pana Deberle, dziękując jak gdyby za dobrodziejstwo, które mu osobiście wyświadczonem zostało. Wszyscy zasiedli w fotelach i poufałe, przyjemna rozmowa potoczyła się powoli. Chwilami głosy milkły i robiła się cisza. Podczas kiedy pani Deberle rozmawiała z siostrą swą, Helena rzekła do dwóch panów:

— Doktor Bodin radzi nam wyjechać do Włoch.

— Ah! to dla tego Joanna rozpytywała mię o nie — zawołał pan Rambaud — Chciałabyś więc tam pojechać?

Dziecię, nic nie mówiąc, przycisnęło rączki swe do piersi, a blada twarzyczka jej rozjaśniła się. Wzrok bojaźliwie pomknął ku doktorowi; zrozumiała, że matka radzi się go. Lekko zadrżał, ale zachował obojętność. Nagle Julia wtrąciła się do rozmowy, chcąc jak zwykle wmięszać się do wszystkiego.

— Co, co? mówicie o Włoszech?... Czy nie mówiłaś, że jedziecie do Włoch!... A to zabawnie się zbiegło! Dzisiaj właśnie rano męczyłam Henryka, żeby mię zawiózł do Neapolu... Wyobraź sobie, że od dziesięciu lat marzę o nim. Co wiosnę obiecuje mi, a potem nie dotrzymuje obietnicy.

— Nie mówiłem ci przecie, że wcale nie chcę — szepnął doktor.

— Jakto nie mówiłeś?... Odmówiłeś mi wręcz, tłumacząc się, że nie możesz opuścić twoich chorych.

Joanna słuchała. Wielki zmarszczek przerznął jej czyste czoło; machinalnie wykręcała sobie palec jeden po drugim.

— Oh! moi chorzy — odrzekł doktor — na kilka tygodni mógłbym powierzyć ich któremu z kolegów... Gdybym wiedział, że to ci zrobi tak wielką przyjemność...

— Doktorze — przerwała Helena — czy sądzisz także, że podobna podróż byłaby dobrą dla Joanny?

— Doskonałą, toby ją zupełnie postawiło na nogi. Dzieciom zawsze służy podróż.

— A zatem — zawołała Julia — bierzemy z sobą i Lucyana, i jedziemy wszyscy razem... Dobrze?

— Ależ naturalnie, zgadzam się zawsze na to, czego ty chcesz — odpowiedział z uśmiechem.

Joanna, spuściwszy głowę, otarła dwie grube łzy gniewu i boleści, co jej paliły oczy. I zasunęła się w fotel, jak gdyby nie chcąc nic widzieć już ani słyszeć, podczas kiedy pani Deberle, zachwycona niespodzianą rozrywką, która jej się trafiała, hałaśliwie zasypywała wszystkich słowami swemi. Oh! jakże jej mąż był dobry. Ucałowała go za to. I zaraz mówić zaczęła o przygotowaniach. Wyjadą w przyszłym tygodniu. Mój Boże! za mało będzie miała czasu do wybrania się! Potem, chciała ułożyć program drogi; tydzień cały zabawią w Rzymie, zatrzymają się w ślicznym kraiku, o którym pani Guirand mówiła jej; nakoniec, posprzeczała się z Pauliną, która żądała, by podróż tę ułożono na trochę później, a wówczas i ona z mężem wezmą w niej udział.

— Ah! nie, to także! — rzekła. — Wesele odbędzie się za naszym powrotem.

Zapomniano o Joannie. Ta nie spuszczała oczu z matki i doktora. Teraz Helena zgadzała się chętnie na tę podróż, która miała ją zbliżyć do Henryka. Była to wielka radość; jechać we dwoje do krainy słońca, dnie całe przepędzać jedno obok drugiego, korzystać z godzin swobodnych. Uczucie doznanej ulgi uśmiechem wymykało się na usta; tak bardzo obawiała się stracić go, tak szczęśliwą była, że w podróż tę zabierze przedmiot miłości swojej. I podczas kiedy Julia mówiła o okolicach, które zwiedzać będą, oni spojrzeniem mówili sobie, że tam się kochać będą, i tam jeszcze, i wszędzie gdzie będą razem.

Tymczasem pan Rambaud, który powoli umilkł zdjęty smutkiem jakimś, spostrzegł, że Joanna cierpi.

— Niedobrze ci, kochanko? — spytał półgłosem.

— Oh! tak, bardzo mi źle. Odprowadź mię, proszę cię.

— Trzeba uprzedzić mamę.

— Nie, nie, mama jest zajęta, nie ma czasu... Odprowadź mię, odprowadź.

Wziął ją na ręce i rzekł Helenie, że dziecko zmęczone trochę. Prosiła go, by zaczekał na nią na górze, zaraz przyjdzie za nimi. Na drugiem piętrze zatrzymał się; mała, chociaż bardzo lekka, wyślizgała mu się z rąk. Oparła główkę na jego ramieniu, i tak smutnie patrzyli na siebie. Żaden szmer nie przerywał zimnej ciszy schodów. On szepnął:

— Rada jesteś, nieprawdaż, że pojedziesz do Włoch?

Ale dziewczynka wybuchła płaczem, jąkając, że nie chce, że woli umrzeć w swoim pokoju. I nie pojedzie, zachoruje, czuje to dobrze. Nigdzie, nigdzie już nie pojedzie. Można oddać trzewiczki jej ubogim. Nakoniec, przez łzy rzekła do niego po cichu:

— Pamiętasz, coś mię prosił pewnego wieczora!

— Cóż takiego moja pieszczotko?

— Żebyś pozostał na zawsze z mamą, zawsze, zawsze. A więc, jeżeli chcesz jeszcze, to i ja chcę także.

Łzy zabłysły w oczach pana Ramband. Ucałował ją czule, a ona dodała jeszcze ciszej:

— Może się gniewasz, że ja wówczas byłam taka zła. Bo to widzisz, ja nie wiedziałam... Ale ja ciebie chcę. Oh! zaraz, powiedz! zaraz... Ja Ja ciebie kocham więcej jak tamtego...

Na dole, w pawilonie, Helena znowu się zapomniała. Zawsze jeszcze mówiono o podróży. Ona czuła gwałtowną potrzebę wynurzenia serca, wypowiedzenia przed Henrykiem, jak bardzo była szczęśliwa. W chwili kiedy Julia z Pauliną roztrząsały kwestyą strojów które wziąść trzeba, Helena pochyliła się ku niemu i wyznaczała schadzkę, której odmówiła na godzinę przedtem.

— Przyjdź tej nocy, czekać będę.

Kiedy nakoniec wracała do siebie, spotkała Rozalię, która mocno wzburzona, biegła ze schodów. Spostrzegłszy panię swą — zawołała:

— Pani! pani! — proszę iść prędzej!... Panienka zasłabła. Plwa krwią! (C. d. n.)

UWAGI NAD WYSTAWĄ PARYZKĄ.

IV.

Opisawszy, o ile to było możebnem w szkicu pobieżnym, znaczenie do jakiego dorosła Ameryka na wystawie paryskiej, wypada nam, choćby jeszcze króciej i pobieżniej, opisać stan przemysłowy innych krajów reprezentowanych na wystawie paryskiej. Tem bardziej wypada nam to uczynić, że powyżej zbyt ogólnikowo wypowiedzieliśmy zdanie, iż Ameryka zagraża przemysłowi europejskiemu. Owoż można byłoby ztąd wyprowadzić wniosek zanadto korzystny dla Ameryki, a zanadto upośledzający dla przemysłu europejskiego. Musimy tedy do powyższego zdania dodać komentarz tej treści: — Według naszego przekonania (żywionego zresztą przez cały ogół fachowych znawców, na których opinii sąd nasz opieramy) Ameryka zabije w Europie wszelki drobny przemysł, warstatowym zwany i zmusi go wejść na drogę wielkiej maszynowej fabrykacyi, ten zaś przemysł, który już jest na tej drodze, wyrwie z rutyny i zaniedbania, w którą się był pogrążył w braku niebezpiecznych konkurentów. Bo Ameryka, jak powiedzieliśmy, dąży wszędzie do zastąpienia człowieka maszyną. Tymczasem stara nasza Europa wcale się z tem nie spieszyła — co więcej, uważała nawet, że i tak już za wiele wyzyskała mechaniczną pracę. Ktoś z nas nie spotykał się ze zdaniem, że już pora nałożyć hamulec na mechaniczne wynalazki, bo gdy tak dalej pójdzie, to dojdziemy w końcu do tego, że maszyny będą wszystko robiły, a ludzie nic, i przeto ludziom zabraknie pracy, a z konsekwencyi i chleba do życia. Tak jak gdyby mechaniczna praca była ideałem człowieka, a bogactwo narodów mierzyło się według ilości tej pracy, dostarczanej obywatelom.

Nietyle może przez hołd dla tej naukowej zasady, ile raczej wskutek braku kapitałów, i braku inicyatywy i przemysłowości, a nadewszystko wskutek szacunku dla rutyny i tradycyi, odgrywającej tak ważną rolę we wszystkich formach życia społecznego Europy, ułożyły się na naszej półkuli rzeczy w ten sposób, że w tysiącznych gałęziach przemysłu, w których praca ludzka dałaby się snadno przez maszynową zastąpić, człowiek i nadal tak jak dawniej stużył za głównego motora (przypominamy podany powyżej przykład z fabrykacyą zegarków). W innych znowu, jakkolwiek maszynowa praca wysuniętą została na pierwszy plan, a człowiek stał się jeno dopełnieniem maszyny, jednakże dopełniał ją w Europie na skali za nadto obszernej i ze zbyt wielkiem zużytkowaniem sił ludzkich*). Wreszcie w niektórych innych, zasklepiwszy się w rutynie nie doprowadzono w Europie maszynowej pracy do tej doskonałości, do jakiej ona dojść może**). I mimo to łudziliśmy się mniemaniem, że już tak wysoko na polu mechanizmu stoimy, a z dumą spoglądając z wysokości kominów naszych fabryk i lokomotyw, wiek nasz nazywaliśmy *wiekiem pary*. Tymczasem jeżeli rzeczywiście para nadaje barwę naszym czasom, to przecież barwa ta jest dotąd jeszcze bardzo słabą i bladą, nabierze zaś mocy i intensywności dopiero pod wpływem Ameryki. A z tem wszystkiem spaliliśmy już tyle niepotrzebnie węgla!

Są jednak rzeczy, w których Ameryka nie sprosta Europie, w których nawet — jak dotąd — nie usiłuje z nią rywalizować. Należą tu wyroby takie, w których maszyna odgrywa rolę nieskończenie podrzędną lub zgoła żadnej, a w których na pierwszym planie stoi gust, inteligencya estetyczna. Tej Ameryka nie posiada wcale, a ani bawełna, ani nafta, ani gutaperka dostarczyć Yankeesom jej zgoła nie mogą. Na nią bowiem składały się dzieje, praca estetyczna całego szeregu pokoleń. Rezultatem tej pracy są sztuki piękne, właściwe i te rzemiosła, które całą swą wartość od sztuk pięknych zapożyczają. I w jednych i w drugich Amerykanie stoją na ostatnim, najniższym szczeblu rozwoju. Że zaś Francya, zwłaszcza w swych rzemiosłach, stoi na najwyższym szczeblu, dźwiga palmę pierwszeństwa, to prawdopodobnie dopowiedział już sam sobie czytelnik.

I zaprawdę kto nie był w *galérie du mobilier* w dziale francuskim wystawy, ten uwierzyć nie zdoła, żeby do takiego wykształcenia dojść mógł gust całego narodu, żeby tak się wyrobić mogła inteligencya estetyczna, nie u jednostek, ale u całych warstw społecznych. Zaraz u wstępu owej galeryi spotykają nas bronzy, dalej nieco meble i wreszcie galerya gobelinów. We wszystkich tych trzech gałęziach przemysłu, Francya króluje. Żaden naród sprostać jej w tych rzeczach nie może, nawet Japonia, której bronzy są przecież słynne na cały świat, a które przecież ustępują francuskim pod każdym względem, a jeżeli przewyższają w czemkolwiek, to zdaniem znawców, jedynie w sile kolorytu. Jeżeli więc Ameryka popisała się z takiemi *kunsztykami* mechanizmu, jak np. wagi wyrobu *Globe Nail Company*, na których platformę wpędzić można całe stado wołów i zważyć od razu, a na których można także zważyć jeden włos; to i Francya wystąpiła z kunsztykami, niepornownanej wytworności. Przejdźmy się np. wśród wyrobów p. Barbedieune, najznakomitszej fabryki bronzów francuskich. Znajdziemy tam Wenus z Milo, lub statuę Ludwika XIII, kopię rzeźby Rude'go, które są bez zaprzeczenia arcydziełami. Znajdziemy tam dalej monumentalny zegar w stylu *François* I, ważący przeszło 1000 kilogramów, a oceniony 400,000 franków; znajdziemy tam wreszcie posągi Diany i Apolina, i tysiące przeróżnych misternych rzeźb i statuetek. Pójdźmy nieco dalej, a wszedłszy do galeryi mebli, zatrzymać się będziemy musieli przed wyrobami pp. Fourdinois i Guéret, sławnych na całą kulę ziemską stolarzy. Ich szafy biblioteczne, ich biurka i biura, ich garnitury cenią się na dziesiątki i setki tysięcy franków. Dalej nieco mamy najsławniejszych na cały świat tapicerów, Durala, Tetrela, a nadewszystko Penona, który jest najznakomitszym wśród znakomitych, a którego wystawa kosztuje pono pół miliona franków. Od tapicerów przechodzimy do galeryi gobelinów i tutaj już wprost czołem uderzyć musimy przed przemysłem francuskim.

Nie, Ameryka nigdy w tych sprawach nie dorówna Francyi. Dotąd wprawdzie nie probuje nawet, i dobrze robi, bo w całem swem życiu społecznem nie znajdzie odpowiednich pierwiastków. Lecz jeżeli i spróbuje kiedykolwiek, to nie ulega zdaje się przecie wątpliwości, że zawsze i po wszystkie czasy, w epoce największego, a już dziś przewidywanego rozkwitu przemysłu amerykańskiego, każdy milioner Yankee meblować się będzie u p. Fourdinois, gobeliny sprowadzać będzie z fabryki Aubussońskiej lub Saint-Beauvais, u p. Penona obstaluje obicia, firanki i kotary, z Sevres sprowadzi porcelanę, a od Barbedienne'a bronzy. Szczęśliwy człowiek!....

Inne narody nie są w tak korzystnej pozycji jak Francya, aby mogły być z góry pewne, że posiadają w ręku parę gałęzi przemysłu, w których konkurencyi Amerykanów obawiać się wcale nie potrzebują. Wszystkim im w mniejszym lub większym stopniu Ameryka zagraża. W jakim?— zobaczymy wkrótce, szkicując w ogólnych rysach gałęzie ich trudu i pracy.

Przedewszystkiem jednak musimy pewną między narodami przeprowadzić klasyfikacyą; między tymi naturalnie, które figurują na wystawie. O innych zaś, które na niej nie figurują, jak Niemcy, Brazylja etc. już z tej prosty racyi mówić nic nie możemy, a raczej nie potrzebujemy, że abstynencya ich, jeżeli sama przez się nie jest nawet znamieniem pewnego upadku przemysłowego, to upadek ten nieochybnie za sobą pociągnie. Zresztą wystawa przeszła nad niemi do porządku dziennego, — dla czegobyśmy my tego samego uczynić nie mieli? (C. d. n.)

*) W fabrykach przetworów bawełnianych i wełnianych na 100% pracy ludzkiej zużywanej w Anglii i Alzacyi. Amerykanie potrafili jeszcze 33% oddać maszynom, a zaledwie resztę — te 67% — oddają człowiekowi. W odpowiednim stosunku wyroby ich bawełniane i wełniane są tańsze od angielskich, i dla tego to dzisiaj na rynkach Wielkiej Brytanii prowadzą one skuteczną konkurencyę z rodzimemi wyrobami angielskiemi.

**) Że wspomniemy tu tylko mimochodem niektóre wyroby, jak np. maszyny rolnicze, do szycia, narzędzia chirurgiczne. wyroby gutaperkowe, papier etc. Do czego tam np. doszła fabrykacya papieru a do czego u nas. Przecież Amerykanie wyrabiają już wszystko z papieru, ubrania, meble, wazony, koła do wozów, nawet domy! A myślą już o budowaniu statków papierowych.

NOWY WYNALAZEK EDISONA.

Potrzebaby było napisać poważnej objętości książkę, chcąc tylko streścić zdumiewające wynalazki Edisona, o którym już po kilkakroć w dziennikach wspominano. Dość będzie powiedzieć, że dziś posiada on w Manloo Park pracownię, zajmującą dwunastu robotników, a w niej jedynem jego zatrudnieniem jest: *tworzenie wynalazków*.

Zawarł on zresztą spółkę z mechanikiem nazwiskiem Bachelor i starym marynarzem Adams'em, który jest reprezentantem jego firmy w Paryżu.

Obok tego Edison jest członkiem Stowarzyszenia telegraficznego w Western Union, które mu wypłaca 100 dolarów tygodniowo, dla tego tylko, aby mieć pierwszeństwo w nabywaniu jego wynalazków *w dziedzinie telegrafii*, za cenę oznaczoną przez biegłego arbitra.

W ten sposób Edison pozyskał patent na pióro elektryczne — co zaś tyczy się fonografu, nie mającego nic wspólnego z elektrycznością, Towarzystwo nie mogło tem samem rościć sobie żadnego prawa.

Edison nie pospieszył na tegoroczną wystawę do Paryża, gdzie go spotkałyby niewątpliwie liczne owacye, lecz natomiast odbył podróż do gór Skalistych, aby obserwować wielkie zaćmienie słońca 29-go lipca r. b.

Udał się on tam zaopatrzony w najświeższy swój wynalazek *Mikro-tasimetr*, którego zadaniem jest jak najdokładniejsze zaznaczanie ilości ciepła wysyłanego przez słońce i wszelkie inne ciała. Fizycy najrozmaitszych narodowości, naprożno od lat trzech kusili się o pozyskanie tego szacownego narzędzia.

Mikro-tasimetr notuje najsłabszą impulsyą ciepła, a zasadza się na tem, że drążek miedziany poddany ogrzewaniu lub oziębianiu za pomocą jakiegokolwiek czynnika, rozszerza się lub też kurczy, powiększa lub pomniejsza swą długość. Ponieważ drążek ten u wierzchołka utrzymywanym jest przez oddzielny mechanizm, tem samem wywiera on na blaszkę dolną platynową i na krążek węgla, ciśnienie tem

silniejsze, im przedłużenie się drążka będzie wyrazistszem. Z drugiej strony węgiel tworzący krążek, tem lepiej przeprowadza płyn elektryczny, im jest gęstszy, im cząstki jego ściślej są z sobą złączone. Wynika ztąd, że przewodnictwo węgla będzie tem lepsze, im silniejszem okaże się ciśnienie wywierane na powierzchnię drążka miedzianego. W czasie spoczynku, drążek opiera się dolnym swym końcem na węglu w ten sposób, że odpowiednio do ciśnienia, igiełka galwanometru zaznacza właściwy stopień.

Przypuśćmy, że promień świetlny lub cieplikowy, wypływający z gwiazdy lub jakiegokolwiek innego ciała, uderza w drążek — tenże przedłuży się tem więcej, im ów promień będzie gorętszy. Przedłużając się, drążek ciśnie na węgiel, który staje się przewodnikiem strumienia elektrycznego, przepływającego ze stosu. Strumień ten przebiega od bieguna przez wszystkie części przyrządu, aż do galwanometru, a następnie zwraca się do stosu, uzupełniając obieg, zwany przez fizyków woltowym. W czasie, gdy płyn elektryczny przepływa przez galwanometr wywiera on natychmiast swój wpływ na igłę bussolową narzędzia, która ulegnie tem większemu zboczeniu, im prąd był silniejszym. Owoż tu prąd stosu jest stałym i działa na bussolę z siłą zmienną, odpowiednią jego przepływowi przez węgiel łatwiejszemu lub też trudniejszemu. Jeżeli węgiel ulega małemu naciskowi drążka — strumień elektryczny przepłynie przezeń z trudnością i zaledwie zaznaczy zboczenie igły — przeciwnie gdy drążek silniej naciska na węgiel, prąd wywoła wyrazistsze zboczenie igły galwanometru. W rezultacie zboczenie tej igły, zależnem jest od przedłużania się drążka miedzianego, które znowu pozostaje w prostym stosunku, do ilości ciepła oddziaływającego na drążek.

Czułość mikro-tesimetru jest niepospolita — wykrywa on bowiem *nieskończenie małe* ilości siły światła i ciepła. Niewyczerpany w pomysłach Edison, pracuje obecnie nad nowym przyrządem, którego przeznaczenie zatrzymuje jeszcze w tajemnicy.

W. N.

KORESPONDENCYE „TYGODNIA."

Poznań w październiku 1878 r.

Ktokolwiek z Galicyi lub Kongresówki przybywa do Poznania, odnosi zazwyczaj niemiłe wrażenie, pomimo, że miasto same w sobie zabudowane jest wspaniałemi kamienicami, a mnóstwo pięknych placów i szerokich ulic nadaje mu wiele pozoru europejskich stolic. Główną jednak niezadowolenia przyczyną jest, jak powszechne słyszymy skargi, nadzwyczajne zgermanizowanie mieszkańców. „Gdzie tylko przyjdziesz", powiadają „wszędzie tylko po niemiecku rozumieją, o niczem nikt nie mówi, jak o talarach i o talarach", i dopiero z czasem niknie to, a natomiast przekonywują się zwiedzający Poznań, że u nas żywioł polski jest jeszcze gorującym, i że tylko pewien rodzaj pompy i owego spokojnego patryotyzmu, co nie wystawia na każdym kroku krzykliwie swej *cechy*, lecz za to gotów wszystko poświęcić na ołtarzu ojczyzny, a przytem pewna systematycznie przeprowadzona chęć wynoszenia się naszych przeciwników, a mianowicie żydów, są przyczynami tej niemieckości, jaką pociągnięto miasto Poznań.

Nie będę się wiele rozwodził nad tym objawem i dociekał wszystkich powodów, wymienię tylko najważniejsze dowody, dla czego miasto nasze uważać mogę, jako czysto polskie, a obcy żywioł nietylko że nie dorównywa, ale o wiele niżej stoi od polskiego. Nie mówimy tu bynajmniej o wystawach niemieckich, lub zjazdach rozmaitych delegatów, udowodnionem jest, że nie udają się te *zachcianki* przeciwnicze, pomimo, że w rękach Niemców i Żydów spoczywają bez porównania większe zasoby materyalne, i że rząd z usilnością popiera te przedsiębiorstwa; porównamy natomiast ilość wydawnictw poznańsko-niemieckich, z polskiemi, a przekonamy się naocznie, która strona na silniejszych spoczywa podstawach.

W Poznaniu wychodzi obecnie niemieckich pism 3 czy 4 gazety, z tych jedynej *Posen. Ztg.* nie źle się powodzi i ma podobno aż 4000 prenumeratorów. Trzeba też zważyć i na nadzwyczajną taniość tego półurzędowego organu, który wychodząc trzykrotnie wśród jednej doby i osobnym dodatkiem niedzielnym, kosztuje tylko cztery i pół marki. Gazecie tej przyznać musimy nadzwyczaj staranną redakcyą, drugi za to dziennik tj. *Posener Tagblatt*, a raczej dawniejsza *Ost. Ztg.*, pomimo że wychodzi dwa razy na dzień i także nie jest drogą, nie świetne robi interesa i podtrzymywaną jest tylko przez majętnych poznańskich kupców żydowskich, reszta pism niemieckich małe lub wcale żadnego nie ma znaczenia. Polskich za to pism peryodycznych wychodzi w Poznaniu dwanaście, znaczną liczących ilość prenumeratorów t. j. 12, czyli też 13 tysięcy, a wychodzą: Pism codziennych 3, jedno pismo wychodzi co drugi dzień, 4 jest tygodników, jeden dwutygodnik *).

Lecz więcej przekonywającem jest ruch wydawniczy poznański; podczas gdy bowiem Niemcy nic zgoła w roku nie wydadzą, a co najwięcej, jaką *księgę regestrową* Poznania, to polscy księgarze sporo robią nakładów, a nieraz dzieł nadzwyczaj cennych, w wydaniach wspaniałych i kosztownych.

Z niemieckich nakładców jedyny księgarz Józef Jolowicz, który od czasu do czasu wyda jakąś książeczkę. Obecnie zapowiada on tłumaczenie monumentalnej „Historyi miasta Poznania" śp. J. Łukaszewicza, które to dzieło polskie, zupełnie już wyczerpnięto w handlu księgarskim. Tyle o niemieckich możnaby powiedzieć, przejrzyjmy teraz, chociaż pobieżnie polskie nakłady.

Samo się przez się rozumie, że rozpoczniemy od nestora polskich księgarzy, zasłużonego J. K. Żupańskiego. Otóż wyszedł właśnie w tych dniach pierwszy tom ważnego dzieła prof. lipskiego uniw. dr. Stanisława Warnki, pt: *Zasługi Lelewela na polu geografii.*

Z ostatnich prócz tego wydawnictw powyższej firmy zasługuje na szczególne wyróżnienie nowe wydanie: *Chronologia królestwa polskiego*, przez Konopackiego jako jednej z niewielu prac, mających wypełnić lukę pod tym względem i przyczynić się ku rozpowszechnieniu nauki historyi polskiej.

W drukarni Jarosława Leitgebra pojawiły się ostatnimi czasy dwie nowe powieści, tłómaczone z języków obcych, a mianowicie: powieść Gogola pt: *Martwe dusze* i druga tłómaczona z języka rusińskiego pt: *Przybłęda*, są to po części odbitki z tutejszych dzienników.

Księgarnia N. Kamińskiego, wydała na pamiątkę jubileuszu J. I. Kraszewskiego *Złote myśli z dzieł jubilata*. Jest to spora książka na pięknym chińskim wydana papierze. Jak wiadomo pracy tej podjął się p. Stanisław Wegner. Dziełko to zdobi fototyp lipski rysunku Walerego Eliasza, przedstawiający apoteozę Kraszewskiego, prócz tego „Złote myśli" poprzedziła wyczerpująca rozprawa Stefana Buszczyńskiego o działalności i żywot J. I. Kraszewskiego. Wogóle całość dobrze się prezentuje a nadzwyczaj przystępna cena, umożliwiają pobyt tej książki w każdej polskiej chatce. Prócz „Złotych Myśli" stara się powyższa firma o wydawnictwo stałe dzieł sławnych europejskich, na wzór nadzwyczaj taniej *Universal Bibliotek* Reclama w Lipsku, które to wydawnictwo pod nazwą „Biblioteki powszechnej" rozpocznie oglądać światło dzienne od Nowego roku i to powieścią T. T. Jeża pt: *Koleje życia*. Spodziewam się, że będę mógł w przyszłym moim liście więcej pomówić i donieść o tem pożytecznem wydawnictwie. Księgarnia pana Kamińskiego wydaje od 1. października nowy *Tygodnik powieściowy*.

Starszy nieco wiekiem tygodnik pana Józefa Chociszewskiego pt: „Lech", rozpoczął druk powiastki Pauliny z L. Wilkońskiej pt: *Dwa śluby*.

Kalendarzy w Poznaniu powychodziło mnóstwo rozmaitego rodzaju i barwy, lecz żaden nie odznacza się niczem wybitniejszem. Wspomnę tu jednak o kalendarzach jak np. *Poznańskim*, jak również *Nowym kalendarzu Poznańskim, Kalendarzu dla Rolników, Piaście.*

Z początkiem tego miesiąca powrócił pan Doroszyński ze swoją trupą z Warszawy i rozpoczął zimowy sezon komedyą nagrodzoną na ostatnim waszym konkursie pierwszą nagrodą pt: *Artykuł 264*. sztukę tą grano u nas dwa razy, lecz z niewielkiem powodzeniem, do czego się głównie przyczyniła nieszczególna obsada. Podobnego losu doznała i druga sztuka 1-aktowa pana Kazimierza Zalewskiego pt: *Spudłowali*; farsy za to bezmyślne jak *Podróż po Warszawie* Szobera, lub też *Fafuła i Grojseszyk na wystawie paryskiej* lub wreszcie *Modniarka warszawska* zapełniają panu D. po brzegi teatr, nie dziw więc, że prawie codziennie przedstawiają te *śmiesznostki*, illustrowane zazwyczaj miluchną muzyczką pana Sonnenfelda. Jedyną zasługą tulejszej dyrekcyi jest to, że sztuki te wystawia z konfortem i przepychem, nie szczędząc na to kosztów. Dzisiaj zapowiadają *Lola* (Bébé) pp. Henneguina i Najaca, prócz tego ma się pojawić na naszej scenie najnowsza komedya pana Emila Augiera pt: *Rodzina Fourchambault*, jak podobnież Doesi'ego *Pocałunek*, kilka nowych utworów Adolfa Mostowskiego i nowa operetka Szobera pt: *Piekło*. Ze składu artystycznego naszej trupy wyróżniają się państwo Linkowscy, których publiczność nasza polubiła i częstemi wynagradza oklaskami. Z młodszych artystów wspomnę także o panu *Walewskim*, który od ostatniego pobytu w Poznaniu wyrobił się na waszej scenie do niepoznania i sympatycznego u nas doznaje przyjęcia.

S. W.

*) Radzibyśmy wierzyć twierdzeniom korespondenta, ale postawione dowody nie wystarczają, gdyż pisma niemieckie drukują się w Berlinie i dla Wielkopolski. Gdyby szan. korespondent zebrał dane i przekonał się że Księstwo więcej konsumuje pism i książek polskich gdziekolwiek wydanych aniżeli niemieckich, również gdziekolwiek wydanych, taki dowód byłby przekonywającym zupełnie. Przyp. red.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 8. listopada.

(K.) Nowy Orlean, jak donoszą gazety amerykańskie, pozbył się już żółtej febry i stan sanitarny tego miasta nie pozostawia nic do życzenia. My o Lwowie nie możemy tego powiedzieć; przez cały ubiegły tydzień a nawet do chwili oddania kroniki niniejszej pod prasę, panuje tu niezwykła febra umysłowa, połączona z dość silną gorączką. Gdyby Lwów mógł mieć pachę, a pod tę pachę dało się wstawić termometr, ten niezawodnie wskazywałby coś więcej niż czterdzieści dwa stopni Celzyusza, co jak wiadomo każdemu najmniej obeznanemu z medycyną, jest właśnie objawem gorączki dosyć ostrego charakteru. Wprawdzie nie jest ona nowością na bruku lwowskim widzieliśmy ją już nieraz,

szczególniej dawniejszemi laty, którą podówczas nazwano *morbus politica magna*, lecz w obecnej chwili o tyle jest niebezpieczną, że podług uznania c. k. policyi, może szkodliwie, jakkolwiek na czas krótki, wpłynąć na zakłócenie spokojności publicznej, zwłaszcza jeżeliby dla jej odwrócenia wypadało urządzić oczyszczenie atmosfery za pomocą fakielzugu. Pan Julian Czerkawski, jak wiadomo doktor wszelkiej medycyny i innych nauk, jakie trzy fakultety uniwersyteckie dostarczyć mogą, zaopiniował z trybuny magistrackiej, że teraźniejsza epidemia jest *morbus Hausneriana*, a przyczyną zjawienia się takowej nie Pełtew, nie brak oświaty gazowej, nie brak kanalizacyi i innych klap bezpieczeństwa publicznego, lecz po prostu niezdrowy ferment głów dziennikarskich. Tak jest niestety, szanowny mowca zdanie swe oparł na własnem doświadczeniu jako exposeł do Rady państwa z miasta Lwowa. Posadę tę, którą i on i kraj cały tak ciężko odchorował, wininien był tylko dziennikarskiemu wówczas poparciu, nic więc dziwnego, że teraz, gdy szło o nadanie panu Hausnerowi obywatelstwa honorowego, przestrzegał Radę miejską, aby nie pozwoliła sobie mydlić oczu przez dziennikarzy i postąpiła z nową gwiazdą tak samo, jak z nim wyborcy miasta Lwowa postąpili w roku zeszłym. Niestety proroczy głos jego przebrzmiał tym razem bez śladu, jak owa warcząca struna w cymbałkach Jankla. Polonez się odbył w Radzie miejskiej i pan Hausner wszystkiemi głosami przeciw dwom przeszedł jako obywatel honorowy miasta Lwowa. Mało tego, bo i fakielzug będzie miał wyprawiony i bankiet w kasynie mieszczańskiem na trzysta osób, i będzie honorowym obywatelem Brodów, Stanisławowa, Tarnowa, Rzeszowa dzięki agitacyi dziennikarskiej... Dalibóg warto oddać dank temu dziennikarstwu, jeżeli ma taki wpływ w kraju i tego rodzaju zarazę roznosi po Galicyi, mimo usilnej anti-agitacyi krakowskiej. Szanowny organ podwawelskiego grodu, pełniący jak wiadomo od lat kilku rolę bezpłatnego dezinfektora patryotyzmu polskiego, już od niedzieli dzień po dniu we wszystkich miejscach swej osoby nie żałuje karbolowego kwasu, aby tylko odegnać zarazę lwowską z zachodniej Galicyi, i kto wie czy nawet nie zarządzi kontumacyi naszego miasta z okolicami, aby zapałkować chorobę w samym zarodku.

A w rzeczy samej o co tu idzie? O co?— o współzawodnictwo patryotyzmu polskiego panów secesyonistów z Kołem polskiem. Sprawa ta przypomina nam żywo pewnego gracza w wista, który obrzucał wyrzutami partnera swego za złe wyjście. Ależ panie dobrodzieju daliśmy wielkiego szlema! — zawoła maltretowany przeciwnik. — No, cóż z tego że daliśmy, ale daliśmy jak partacze, nie podług reguły. Pan powinieneś był wychodzić na zasadzie solidarności ze mną, a nie podług swego widzimisię, tak grają tylko partacze!

Trzymając się zasady, że kury do indyków nie należą, czyli że nam bez zakłócenia spokojności sumienia c. k. prokuratoryi nie wolno studyować owej choroby zwanej *politica magna*, możemy tylko ze stanowiska kronikarza tygodniowego notującego wszelkie bieżące zdarzenia, opisać dotykalne objawy tejże na bruku lwowskim. W przeszłej kronice naszej wyraziliśmy obawę, o los trzech naszych posłów do Rady państwa, którzy jak te błędne owieczki oddaliwszy się od trzody mogły bardzo łatwo zawieruszyć się wśród zadymek śnieżnych panujących podówczas w Wiedniu. Obawy nasze, jak się niestety pokazało, nie były płonne. Pan Ludwik Skrzyński już przepadł z kretesem złożywszy z płaczem swój mandat. Chęci do wygrzebania się z tej matni miał dosyć — ale sił nie stało. Drugi pan Wolski jako energiczniejszy trochę, przynajmniej się wygadał do woli, trzymając połę płaszcza pana Hausnera; a sam pan Hausner jak powiada „Czas", odstąpiwszy sztandaru narodowego, musiał się chwycić chorągwi wolności i oświaty (czego naturalnie nikt z konserwatystów nie pochwali) i znalazł się raptem między centralistycznymi kotami, którzy trzeba przypuszczać, niedługo zjedzą go razem z całą jego polityką. W Krakowie zatem odbyto już pośmiertne egzekwie za duszę straconego Polaka i zaśpiewano mu wielkim głosem Requiescat... Tymczasem we Lwowie, jak by ten Lwów leżał na antypodach Krakowa, inaczej na te rzeczy się zapatrują, oceniając działalność pana Hausnera, nie z formy ale z rzeczy i treści. Mając obie mowy przed oczami, i wycisnąwszy z nich ostateczną esencyą, jako wynik pragnień naszych, przychodzimy do rezultatu, że Koło polskie i p. Hausner ze względu specyalnych stanowisk polskich, stanęli na jednym gruncie i tak dobrze jedni jak i drudzy mogli głosować za adresem jak i przeciw adresowi. Namiętność stronnicza partyi krakowskiej bije w turban solidarności, niepomnąc, że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu tak dobrze z centralistami jak i z panem Hohenwarthem. Naprawdę więc takie wycieczki zjadliwe przeciw p. Hausnerowi czysto osobistej natury, zarzuty odstępstwa, Radziejowszczyzny i t. p. epitety co najmniej obałamucają opinię publiczną, nie robią zaszczytu ich autorom i nie prowadzą do zgody i solidarności, na które ten sam "Czas" nieustannie się odwołuje, dla której piją toasty posłowie, całują się przeciwnicy, a której kraj nasz tak bardzo pragnie. Ludzie bezstronni w całej Galicyi tak na sprawę tę się zapatrują i wzruszają smutnie ramionami na widok tych zapasów kolonji, która nie może znieść żadnej wyższości stampillą jej nieopatrzonej.

W obec takiego zaprzątnienia umysłów we Lwowie, wobec podania się do dymisyi prezydenta i wiceprezydenta miasta Lwowa, w obec zaprzeczania ważności uchwały nadającej obywatelstwo honorowe p. Hausnerowi, nazwisko tego ostatniego jest na wszystkich ustach. Tworzą się koterye stawiające już rozmaitych kandydatów na krzesło prezydenta, odbywają poufne narady, kładą się warunki powrotu do władzy pana Jasińskiego, słowem cała intelligencya lwowska jest w ruchu, pisze rekursa od decyzyi namiestnictwa zabraniającej pochodu z pochodniami, werbuje ochotników na bankiet sobotni, a przypominają sobie jak staruszka jaka swoje młode czasy, nie chce nic wiedzieć o odczytach urządzanych przez Stowarzyszenie przyrodników w sali ratuszowe. Odczytów tych mających za przedmiot oznajomienie publiczności z cudami nowych wynalazków na Wystawie paryskiej, będzie dziesięć w odstępach tygodniowych, każdy co piątek o godzinie piątej wieczór i zarząd stowarzyszenia spodziewa się jednak, że ta publiczność lwowska, której puls bije normalnie, zechce korzystać z umiejętnych wykładów p. Abakanowicza, i przysłuchiwać się będzie z zajęciem mówiącym maszynom Edisona, tym nowym papugom dziewiętnastego stulecia. "Ostatnia wola" komedya pośmiertna hr. Fredry ojca, jakkolwiek trafiła na gorący czas politykowania we Lwowie, jakkolwiek jest tylko reprezentacyą typów więcej ogólne aniżeli polskiej natury, podobała się więcej publiczności naszej, aniżeli w Krakowie. Czyby i to miało się stać na przekorę antagonistom naszym? W takim razie tylko przyklasnąć możemy podobnemu robieniu sobie na złość, bo na tem tylko zyskać może sztuka narodowa i rozbudzi się zamiłowanie tego wszystkiego co piękne, bez względu z którego obozu pochodzi.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** Nakładem Księgarni Polskiej opuściły prasę *Mowy* posłów polskich Ludwika Wolskiego i Ottona Hausnera miane w Radzie państwa wiedeńskiej dnia 4. i 5. listopada. Pomnikowe to mowy, które do głębi poruszyły parlament austryacki i doprowadziły do wściekłości Stańczyków krakowskich przetłumaczone zostały z zapisek stenograficznych. Zamieszczone w dziennikach dla koniecznego w takich razach pospiechu zawierały wiele niedokładności.

*** *Listy Joachima Lelewela*. Oddział pierwszy. Listy do rodzeństwa pisane. Tom I. Poznań 1878. 8ka, str. 491 cena 4.88.

Listy Lelewela podzielone zostały na 2 oddziały. Oddział pierwszy zawiera listy do rodzeństwa i składać się będzie z 2 do 3 tomów objętości 30 arkuszy druku każdy. Oddział drugi zawierać będzie listy do rozmaitych osób pisane. Oddział ten obejmie 4 do 5 tomów druku.

O cennem tem dziele napiszemy obszerniej, tu tylko nadmieniamy, iż wydanie, jak wogóle wszystkie nakłady księgarni J. K. Żupańskiego, jest bardzo ładne, a cena stosunkowo niska. Wydawca wzywa publiczność do szybkiego nabywania dzieła, to bowiem umożliwi pospieszne wydawnictwo dalszych tomów. Zachęta zdaje się być zbyteczną, gdyż Lelewel należy do najsympatyczniejszych i najszlachetniejszych postaci narodowych.

*** Wkrótce wyjdzie z druku w Warszawie nowe dzieło dr. Juliana Ochorowicza pt. *Pogadanki i spostrzeżenia*.

*** W tych dniach wyszły z pod prasy w Wilnie, nakładem Zawadzkiego — „Poezje i prace dramatyczne" Eugenjusza br. Rönne'go.

*** Jeden z pierwszych utworów beletrystycznych Litwosa (Henryka Sienkiewicza) pod tytułem „Na marne" ukazał się obecnie w oddzielnej książce. Powieść ta była drukowana dawniej w *Wieńcu*.

*** K. Wł. Wójcicki napisał „Historyę literatury polskiej" w zarysach dla młodzieży.

*** Nakładem firmy F. Hösicka wyszły świeżo 4-ry książeczki przeznaczone dla wieku młodzieńczego i dziecinnego.

Pierwszą stanowi tom II „Ziemia i jej mieszkańcy" przez St. Strojnowskiego, rzecz napisana z talentem i przystępnie, choć nie zawsze zdrową przeniknięta tendencyą. Drugą: „Pamiętnik Laury, upominek babuni dla dorastających dziewczynek" przez Felicyę Szymanowską i trzecią „Powiastki i nauczki dla Stasia i Jadwisi" przez Zofię Rymanową; książeczka zarówno pod względem treści jak i języka wiele pozostawiająca do życzenia.

Wszystkie te jednak dziełka odznaczają się wykwintną formą zewnętrzną, nie towarzyszącą wydawnictwom dziecinnym.

Ale prawdziwe chéf d'oeuvre p. Hösicka jest tymczasem pierwsza książeczka „Biblioteczki obrazkowej dla grzecznych dzieci" zawierająca podanie o Twardowskim, illustrowane chromolitograficznie przez Władysława Szymanowskiego. Jestto pierwsza próba zastosowania chromolitografii do tego rodzaju wydawnictw i przyznać trzeba, próba wykonana bardzo pomyślnie.

Pan Twardowski stanowić będzie niezaprzeczenie bardzo miły dla dzieci naszych podarek.

*** Literatura czeska. (Z Pragi czeskiej.) Pod redakcyą Jakuba Maleho zaczęła tu wychodzić nakładem Kolarza i współki: „Bibliotheka svietovych cestopisu" (Biblioteka podróży po świecie.) Zeszyt pierwszy zawiera skrócony opis wyprawy słynnego podróżnika Henryka Stanley'a po Afryce, jednej z najpopularniejszych książek w Europie. Wychodzić bę-

dzie w zeszytach 4-o arkuszowych. Do redakcyjnego grona tej biblioteki zaproszono uczonych czeskich mianowicie: pp. Jireczek, prof. Rauda, Korzistka, F. Studniczka, Eiselt, Zdeniek, Pokorny i W. Naprstek. Nakładem tejże księgarni Kolarza i współki wychodzą dwa dzieła naukowe to jest „Słownik czeskoniemiecki.“ Kotty (już 22-gi zeszyt doprowadzony do litery o) i „Pathologia i Therapia“ wydawana przez Towarzystwo lekarzy czeskich pod redakcyą profesora D-ra Eiselta. Zeszyt 6 i 7 obejmują: D-ra Maixnera: „o chorobach malarycznych“ i D-ra B. Eiselta „o chorobach tyfoidalnych.“

Literatura pedagogiczna wzbogaconą została obszerną pracą Jana Leparza p. t. „Pedagogika ogólna dla stanu nauczycielskiego“ (obecna pedagogika ku potrzebie ustavum uczitelskym).

*** Pan Majew wysyłany przez rząd rosyjski dla zbadania porzecza „Amur Darii“ powrócił do Taszkientu. Zbadał on kraj 78 mil długi od Dżamu (na południo-zachód od Samarkandy) aż do miasta Guzary.

Wiadomości ekonomiczne i gospodarskie.

*** Lasy Galicyi na wystawie paryskiej. W piśmie francuskiem wydawanem w czasie trwania wystawy, pod dyrekcyą p. Br. Wołowskiego, znajdujemy artykuł pod powyższym tytułem, który tu w przekładzie podajemy.

Leśne bogactwo Galicyi, w epoce ktorej drzewo jest poszukiwane do tylu użytków, a mianowicie do budowy dróg żelaznych, na szczęście, bardzo jest wielkie. Powinszować można właścicielom lasów w tym kraju ich przezorności, która ich ustrzegła od pokusy nagłego zrealizowania spuścizny po przodkach odziedziczonej.

Drogi żelazne w rzeczy samej są bardzo żarłoczne i żywią się przeważnie wyborowemi gatunkami drzewa. Szkody, które z tego powodu poniosła Francya, są ogromne; dla wykazania ich rozmiarów, dosyć jest przytoczyć, że na podkłady pod szyny dróg żelaznych używają tam drzewa twardego w odstępach na 1 m. 20; takich podkładów, pień stuletniego dębu zaledwie cztery wydać jest w stanie. Kompanie zatem dróg żelaznych, nie znajdując już podostatkiem odpowiedniego materyału, poprzestawać muszą na gatunkach mniejszej wartości, jak np. drzewie bukowem, poddanem poprzednio nasyceniu solami antiseptycznemi (przeciwgnilnemi) dla podwyższenia jego trwałości.

Wycięcie lasów i łatwość spieniężenia drzewa stanowi tak zyskowną spekulacyą, iż we Francyi, państwo tylko jest wstanie utrzymywać i pielęgnować wysokopienne lasy. Państwo bowiem przedstawia osobistość moralną, której istnienie jest pod pewnym względem nieograniczone, i z tego powodu może oczekiwać na zyski mające przypaść w udziale dopiero po upływie bardzo długiego czasu, naprzykład w parę wieków po zaprowadzeniu pierwszych przygotowawczych upraw.

Położenie prywatnych właścicieli jest inne; własny interes zmusza ich do ograniczenia długości kolei cięć, która średnio trwa szesnaście do trzydziestu lat; (gospodarstwo niskopienne). Produktami łatwemi do spieniężenia po przejściu takiej kolei są: drzewo opałowe, łaty, węgiel drzewny, kora garbarska i td., lecz te produkta muszą zawsze ustąpić, zarówno pod względem jakości jak i wysokości średniego dochodu, produktom gospodarstwa wysokopiennego (drzewo masztowe, belki, bale, deski, drzewo stolarskie i td.)

Inne jeszcze korzyści, sięgające wyższych sfer ogólnej ekonomii, przemawiają za utrzymaniem wysokopiennych lasów. Ogołocone z drzewa przestrzenie, wskutek cięć zbyt często po sobie następujących, z trudnością dają się zadrzewiać; właściciel, znużony trudnościami napotykanemi na każdym kroku w tem przedsięwzięciu ulega pokusie zamienienia przestrzeni leśnej na pole orne. Ziemia użyzniona opadłemi i zgniłemi w ciągu długiego szeregu lat liśćmi, wydaje przez lat kilka wysokie plony, lecz nareszcie wyczerpana staje się zupełnie jałową.

Lasy utrzymują powłokę darniową, która powstrzymuje nagły odpływ wód deszczowych, przytem pochłaniają ogromną ilość pary wodnej z powietrza, którą następnie przez liście swoje atmosferze oddają. Obliczenie dokonane na zasadzie danych, przez naukę dostarczonych, przekonywa, iż las Saint-Germain naprzykład sam dostarcza atmosferze więcej pary wodnej, niż wszystkie machiny parowe razem wzięte, istniejące na kuli ziemskiej. Lasy więc ochraniają grunt od nagłych powodzi unoszących warstwę orną. Zachowanie zatem lasów wysokopiennych jest jednym z licznych obowiązków prawdziwego obywatela kraju, a pojęcie tej zasady i wprowadzenie jej w czyn policzone być może za zasługę posiadaczom większej własności ziemskiej w Galicyi.

Zbiorowa wystawa leśna galicyjska, urządzoną została bardzo umiejętnie staraniem hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego przy pomocy p. Strzeleckiego, dyrektora szkoły leśniczej we Lwowie. Szczegółowa mapa wykazuje, za pomocą różnych kolorów, obszary stref właściwych, w których pewien gatunek drzewa przeważa.

Pierwsza strefa, zawierająca drzewa iglaste ciągnie się wzdłuż granicy Królestwa Polskiego; dąb przeważa na Podolu; buk w pewnej odległości od Lwowa; buk w pomięszaniu z dębem, stanowi strefę równoległą od strefy drzew iglastych; nareszcie piąta strefa wieńczy stoki Tatrów i odznacza się górską roślinnością. Każda z tych stref ma właściwy numer porządkowy odpowiadający okazom poprzecznych odcinków pni wykazujących wiek i jakość drzew, z których były wzięte. 127 okazów drzew rozmaitego gatunku, od dębu mającego 104 centimetrów w średnicy, pochodzącego z nad Dniestru, aż do jałowców tatrzańskich o 9 calach średnicy, pochodzących z dóbr Arcyksięcia Albrechta, księcia Czartoryskiego, Lubomirskiego, Sapiehy, hrabiów: Alfreda Potockiego, Włodzimierza Dzieduszyckiego, Karola Lanckorońskiego, Stanisława Potockiego i Kińskiego; pp. Stanisława Brykczyńskiego, Kazimierza Młodeckiego, Adama Krajewskiego, Antoniego Komorowskiego, Józefa Koliszer'a, Ludwika Eichhorn'a, Zakładu hrabiego Stanisława Skarbka, gminy miasta Lwowa i dóbr Nadworniańskich, pozwalają należycie ocenić jakość gatunków drzewa i system przyjęty przy eksploatacyi lasów.

Drzewo tak zwane towarne lub rękodzielnicze przedstawione było w trzech różnych postaciach: jako pnie mające 1 metr długości w przecięciu podłużnem opodal nieco od środka; jest to t. zw. wieliki budulec; inne w przecięciu poprzecznem, długości około 50 centimetrów; nareszcie, belki, bale i deski długości na 1 metr.

W tej kategoryi znajdujemy bardzo wiele gatunków, pomiędzy którmi zasługują na uwagę: dąb szypułkowy (quercus pedunculata); dwie odmiany wiązu (ulmus campestris et glutinosa) oba bardzo wielkiej wartości, grab (carpinus betulus), jesion (fraxinus excelsivo), drzewo tak cenne dla rękodzielników, jarząb (sorbus aucuparia), dwie odmiany klonu (acer platanoides et pseudoplatanus), olsza czarna (alnus glutinosa) buk, (fagus sylvatica), sosna (pinus sylvestris), modrzew (larix), jodła (abies-excelsa), świerk (abies pectinata), brzoza (betulus), czeremcha (prunus padus, śliwa (prunus avium), jabłoń (pyrus malus), i osika (populus tremula).

Odznaczyły się jędrnością drewna nie pozostawiającą nic do życzenia dęby z lasów ks. Czartoryskiego, Lubomirskiego, Sapiehy; hrabiów: Włodzimierza Dzieduszyckiego, Karola Lanckorońskiego, gminy miasta Lwowa, i p. Józefa Koliszer'a jako też drzewo zdatne na potrzeby stolarstwa z lasów ks. Adama Sapiehy, pp. Adama Krajewskiego, Stanisława Brykczyńskiego i Tadeusza Chajęckiego.

Zwracały także uwagę deski jodłowe zdatne na deski brzmienne do fortepianów i innych instrumentów muzycznych pochodzące z tartaków parowych pp. Adolfa Kroeber'a i Adolfa Hertlein'a w Olszanicy, jako też z tartaku p. Józefa de Poncet we Lwowie (ulica Kościuszki).

Wycinki z brzozy, topoli, klonu, dębu i lipy przedstawiają materyał na forniry, których fabrykant, p. Frankl, z Wiednia, ma gotowe okazy już politurowane.

Są tu także okazy kory garbarskiej, żywice, smoły i laski jałowcowe.

Sześć modeli na małą skalę wykonanych, obznajamiają ciekawych z kształtem tratew i płytów spławianych po Bugu, Czeremoszu i Sanie. Szkoła leśnicza przedstawia rysunki owadów lasom szkodliwych, wykonano przez prof. Romer'a, adjunkta przy szkole leśniczej, jako też dzieła odnoszące się do tego przedmiotu, mianowicie: „Las w stanie natury“ p. Henryka Strzeleckiego Lwów 1874. Tablice do obliczania miąższości drzewa Karola Greczela. Kraków 1876. Przewodnik dla leśniczych t. I. i II. Lwów 1876. Wycieczka na Podole w jesieni 1875. Władysława Tynieckiego. Lwów 1877. Flora leśna i przemysł leśny w Galicyi. Emila Hołodkiewicza. Lwów 1877.

Hr. Włodzimierz Dzieduszycki oprócz przyjęcia udziału w zbiorowej galicyjskiej wystawie, urządził jeszcze swoją własną, oddzielną wystawę. Okazy na niej należą do tejże samej kategoryi, lecz odznaczają się doborem.

Do tej wystawy dołączoną jest mapa, z której się okazuje iż hr. Dzieduszycki w dobrach swoich Pieniaki, Markopol i Założce posiada 2469 hektarów lasu dębowego, 150-letniego, 3452 hekt. lasu bukowego 120-letniego, i 1723 hekt. takiegoż lasu 50-letniego.

R.

Książka jubileuszowa o Bolesławicie, która miała być wydaną przez grono jego wielbicieli lwowskich nie będzie już drukowaną.

ROZMAITOŚCI.

*** Ameryka, pomimo wielu lat cywilizacyi, pomimo zupełnego zda się zbliżenia ze starą Europą i zharmonizowania z jej życiem, posiada wiele jeszcze szorstkich nierówności silnie odbijających od typu europejspiego społeczeństwa...

Oto kilka obrazków z życia owej wciąż jeszcze dla nas ekscentrycznej Ameryki.

* * *

Jonatanowi Brinton obywatelowi jednego z północnych stanów, przyszła np. do głowy myśl podniesienia świetności Jerozolimy.

Środkiem ku temu dążącym miało być założenie przezeń oberży nieopodal świętego miasta...

Zaiste dziwna ta idea zajęła cały umysł Brinton'a.

Przez lat ośm pracował on w pocie czoła, ażeby módz ją urzeczywistnić.

W końcu przed dwoma laty zaopatrzony w odpowiednie środki pieniężne, przybył do Palestyny, kupił kawał ziemi o milę od Jerozolimy i założył oberżę...

Oberża urządzona przezeń z europejskim komfortem i prowadzona starannie zyskała ogólne uznanie turystów i obecnie Jonatan Brinton robi na swojej idei — majątek...

Czy jednak skutkiem tego Jerozolima zyskała co na świetności — niewiadomo.

* * *

Pomysłowość Amerykanów jest wielka.

Niedawno grono przedsiębiorców z Kalifornji przybyło do Kantonu, w Chinach.

Otworzyli oni w tem ostatniem miejscu „Przedsiębiorstwo wyrobu bogów i bogiń chińskich.“

Olbrzymia fabryka, urządzona przez nich w której wyrabiane są tysiącami bałwany chińskie, znajduje szeroki pomiędzy krajowcami zbyt.

Wspaniale!

* * *

W stanie Missuri, pewien bogaty fermer, imieniem Hiks Shneperton, powiesił się.

Pozostawił on następujący oryginalny list:

„Żona moja oszukiwała mnie stale i dla tego wstępuję w progi wieczności, nie pożegnawszy osobiście moich przyjaciół, krórym jednak polecam Jenny. Przyjaciele moi! nie traćcie czasu, śmiem wam bowiem oświadczyć, że żona moja jest piękna i ma widoczną skłonność ku płci silnej. Mogę zapewnić, że potrafi ona zawrócić głowę nawet samemu szatanowi, nietylko wam, których mózgi nie odznaczają się zbytnią mocą. Otwierając wam swobodną drogę do... uśmiechu mojej djabelnie pięknej lecz i djabelnie niemądrej małżonki, przypuszczam, że o mnie nie zapomniecie. Do widzenia przyjaciele! Zrobiłem dla was wszystko, co mogłem... kolej na was. Nie traćcie czasu.

Przyjaciel,

Hiks Shnepperton.

P.S. Nie zapominajcie też, iż umarli nie miewają żadnych pretensyi...

* * *

W New-Yorku, na Broodwaj, najpierwszej ulicy miasta, od niedawna począł zwracać uwagę murzyn, przechadzający się bez przerwy z rozpiętemi

szczątkami parasola, na których nalepiono duży anons tej treści:

„Tak wygląda po sześciu tygodniach parasol w najlepszym gatunku kupiony w sklepie Johnsona et Comp.“

Złośliwe to oznajmienie zwróciło też uwagę firmy, przeciw której było wymierzone.

Na skutek jej starań, murzyna stawiono przed sędziego policyi.

Za czarnym jednak wykonawcą swych poleceń wstawił się niejaki p. Seymour z Chicago, który udowodnił, że parasol ten kupiony w sklepie Johnsona et Comp., rzeczywiście w sześć tygodni doszedł do zupełnie złego stanu, za co mu żadnego zadośćuczynienia ze strony firmy dać nie chciano.

Wobec tego sędzia zezwolił kategorycznie na dalsze obnoszenie plakatu przez murzyna — który do dziś dnia przechadza się bez przeszkody po Broodway, unosząc w górę łachmany parasola — gdyby sztandar zwycięztwa.

Gdyby to u nas coś podobnego!

* * *

A teraz cokolwiek cienia.

W Hertes, w stanie Massachusets wystawione zostało na pokaz w jakiejś budzie ciało powieszonego murzyna Jonny Eicke — z opłatą za wejście po 10 penny.

Przed budą wywieszono następujące oznajmienie: „Tu pokazuje się doczesne ciało strasznego zabójcy, który zamordował czterech ludzi. Wejście po 10 penny. Opłata idzie na dochód rodzin zabitych.“

Kasjerem przy tem niesłychanem i oburzającem widowisku był.. teść powieszonego, mulat.

Upadek moralny dochodzący do obrzydliwości!

* *

W połowie września odbył się w Dayton, w stanie Ohio, pogrzeb zmarłej królowej cyganów amerykańskich, Matyldy Stanley.

Towarzyszył obrzędowi dwudziestotysięczny tłum ciekawych.

Zmarłą, której zwłoki zostały nabalsamowane, pochowano podług obrzędu sekty „braci zjednoczonych,“ do której należała.

Na pogrzeb stawiło się kilkunastu hersztów cygańskich z bandami dla złożenia królowej ostatniego hołdu.

Matylda Stanley, według zdania dzienników, była to „stara brzydka baba“, zdradzająca jedynie w postawie i wzięciu się nieugiętość i stanowczość.

Opowiadano wiele o jej tajemniczych zdolnościach.

Wywierała ona znaczny wpływ na liczne plemiona cyganów w Ameryce.

Grób Matyldy Stanley pod Daytonem murowany z dużych głazów, dwie ledwo stopy jest głęboki i pokryty potężnym stosem kamieni.

Na wierzchołku stosu stanie posąg królowej wykuty w marmurze...

HISTORYJKI DYPLOMATYCZNE.

V.

LAMARTINE.

.....Lat temu cztery, któregoś maja czy czerwca, ubiegł termin konkursu na pomnik Lamartina i nadszedł dzień otworzenia salonu, w którym wystawiono projekty na widok publiczny.

Przekonani, że cała inteligencya Paryża pośpieszy obejrzeć, jak łączy artysta naród z jednym z pierwszych jego geniuszów, poszliśmy obetrzeć się o ludzi, co promienieją zasługą i wlewają energię wejrzeniem i... nie zastaliśmy nikogo!

Najzwyczajniejszych gapiów mniej było niż projektów i każdy z nas miał swego Lamartina.

Wrażenie było przykre, ale obojętność uzasadniona; zastanowiliśmy się nad nią w najbliższym numerze *Rep. franç.* i ceremonia odsłonięcia pomnika na miejscu przeznaczenia upewnia nas, żeśmy trafili w istotę przyczyny.

Nie nasza to sława i kolej jej mniej nas obchodzić może; ale obejście się Francyi z Lamartinem jest ogólnie ludzkie i można i należy się nad niem zastanowić, choćby dla nauki spółczesnych i wszystkich przyszłych mężów stanu.

Nie będziemy tu podnosili ani zmniejszali zasługi wielkiego poety i wielkiego historyka, — to dziedzina nie nasza, a przytem jesteśmy pewni, że gdyby pomnik był hołdem składanym poecie, wszystko co się u jego piedestału zgromadzić było powinno, stanęłoby na apel w komplecie.

Ale Lamartine zasiadał w izbie prawodawczej, piastował tekę ministra, kompetował o pierwsze stanowisko w państwie — o mało nie został prezydentem rzeczypospolitej i — obok męża stanu, był człowiekiem...

Pomnik stawiany Lamartinowi, to uznanie wszelakiej jego działalności.

Naród dojrzały i skrzętny, oprócz zgody co do jednego — aby pracować dla wspólnego dobra kraju, rozmaitemi do tego celu zmierza drogami.

Genjuszem, kto wytknie nową a krótszą.

Wielkim, zawładnie potężnie i zyska sławę, kto za sobą liczne pociągnie zastępy; gwiazdą, w kogo się naród zapatrzy i za kim cały podąży.

Przewodnik taki zakłada wytyczne, na których wielkiemi zgłoskami pisze cel — punkt dojścia.

Czy Lamartine zatykał kiedy takie drogowskazy?

Nigdy.

Streszczając działalność deputowanego przez ciąg trwania monarchji lipcowej, powiedziano o nim, że był szefem stronnictwa, które jego jednego liczyło w swem łonie... Powiedziano prawdę. Rolę tę grał przez cały przeciąg politycznej swej działalności. Kiedy nastała chwila przesilenia, dnia 22 lutego 1848 r., sława poety, historyka i mówcy otaczała Lamartina pewnym urokiem, który mu nadawał przewagę; mocen był wszystko zrobić — nie zrobił nic.

Stojąc na czele ruchu rewolucyjnego — uwydatnijmy różnicę: nie stanowi czoła, a tylko staje na czele — domaga się mianowania rządu tymczasowego, ale sprzeciwia się bezzwłocznemu ogłoszeniu republiki. Rad wszystkim dogodzić nie obrażając nikogo, jest wygodnym, potrzebnym nawet. Nie porywa jednak za sobą, nie przyciąga do siebie.

Kiedy wydarł czerwoną chorągiew z rąk zgłodniałych robotników i zastąpił ją trójkolorową, oddał Francyi wielką usługę — zażegnał może straszną klęskę; ale w pierwszej trudniejszej chwili nie podołał zadaniu.

Nadszedł wybór prezydenta.

Groźnego miał współzawodnika w Ludwiku-Napoleonie: są imiona, co magicznie przyciągają do siebie tłumy.

W Izbie zwyciężał, w głosowaniu powszechnem przepadał — to było widoczne. Obawiano się tego, bo przewidywano do czego doprowadzi prezydentura księcia. Chciano mu utorować drogę, — ratowano w nim republikę: deputowany Grévy złożył wniosek, aby konstytuanta wybierała prezydenta.

Lamartine pierwszy, wniosek odpiera.

Chciano go zrobić twórcą republiki, on wolał pracować na cesarstwo.

„Wiem — mówił w poetycznem uniesieniu — że tłumy często zbaczają z właściwej drogi; wiem, że są imiona, co je wabią, jak purpurowa ponęta istoty pozbawione rozumu; znam to i obawiam się, bo niczyja może dusza, niczyje życie, niczyja odpowiedzialność, niczyje imię nie zespoliły się tak z losem republiki, jak moje. Jeżeli się ona ustali, wygrywam zwalczając przeznaczenie; jeżeli upadnie — bądź w anarchii, bądź w zwrocie despotyzmu, imię moje wraz z nią upadnie i odtrącone zostanie przez współczesnych. Wiem o tem i pomimo strasznej odpowiedzialności za niebezpieczeństwo na jakie instytucye nasze narażam, jakkolwiek los republiki jest moim losem, a jej zguba, jeżeli ją mam przeżyć, mojem wygnaniem i wieczną żałobą, ani się waham w głosowaniu za tem czego się tak obawiacie — za wyborem prezydenta przez naród! Chociażby naród miał wybrać tego, którego przezorność moja każe mi się obawiać — *alea jacta est.* Niech Bóg i naród orzekają!... Jeżeli naród zbłądzi, jeżeli się pozwoli omamić... tem gorzej dla niego!“

Efekt oratorski wspaniały; ale zmysł polityczny wzbraniał powierzania losu kraju, w tak ważnej chwili, ciemnej masie.

Gdyby się Lamartine przychylił był do wniosku, wniosek przechodził i całkiem odmienna byłaby przyszłość Francyi.

To też i los Lamartina przybiera obrót, jak sobie przepowiedział. Nietakt ten zdyskredytował go zupełnie. Kiedy przeciwnik otrzymał 5 milionów głosów, jemu i ośmiu tysięcy nie dano.

Pomimo oddanych usług, nie został nawet ponownie wybrany do Izby.

Tak skończył swoją karyerę Lamartine, *mąż stanu.*

Pozostał jednak poeta wielkiego imienia i usunięty od publicznych zajęć zamachem grudniowym, mógł on jeszcze chlubnie dokonać szermierki — piórem. Błąd który go strącił, miał swą stronę piękną — pragnienie jak największej popularności. Trzeba było wziąć je sobie za zadanie i pracować i żyć odpowiednio.

Ale to był tylko fajerwerk krasomówstwa.

Przyjemności osobiste były dla niego droższe, niż szacunek jakim go otoczono, i prywatne życie zdyskredytowało go do reszty.

Był on uosobnionem pragnieniem zbytku o nienasyconych żądzach — prawdziwą otchłanią; zarabiał miliony, miliony trwonił i miliony długów zaciągał.

Wreszcie nie mógł sobie wystarczyć, a przeceniając swoje zasługi, zdawało mu się, że naród obowiązany jest zadosyćuczynić wszystkiemu czego mu się zażąda...

Eksploatował go też we wszelki możebny sposób: wygórowane prenumeraty na dzieła, zapisy naddatków, loterye... wszystko mu było godziwem i wszystkiego było zamało.

Dawano nie licząc; ale przebrał sposoby i doczekał się likwidacyi...

Tu miejsce, na przytoczenie najpowszechniejszej jego charakterystyki.

„Lamartine — pisał Rochefort — wsławił się najbardziej jako poeta i jako chrześcijanin: jako poeta, zarabiał miliony; jako chrześcijanin, nie przestawał nigdy jadać szparagów w grudniu...

„Czyżbyśmy nie wzruszyli ramionami, gdybyśmy zaprosiwszy kogo na obiad, otrzymali taką odpowiedź:

— „Przecież to panu wszystko jedno, a ja wolę, żebyś mi pan dał gotówką wartość mojej porcji...

„Lamartine tak obszedł się z Francyą; naród mu ofiarował sławę, a on odpowiedział: wolę, żebyś mi ją wypłacił w gotowiźnie!...“

I wypłacono mu ją, wypłacono rzeczywiście.

Dnia 9 kwietnia 1867 r., dwulicowy minister cesarstwa, Emil Ollivier, odczytał w ciele prawodawczem „napuszony“ raport, celem przyznania Lamartinowi donacyi — właściwie wsparcia — w wysokości 500,000 fr...

Człowiek, którego zwycięstwo — jak to Lamartine przed dwudziestu laty powiedział — zatrze sławę jego imienia, zeskontował mu ją, w cenie pół miliona franków!

Wdzięczność kraju albo pieniądze — Lamartine miał do wyboru; sam sobie alternatywę taką postawił i idealny poeta — ach! za idealny nawet chwilami — wybrał pieniądze!

Zapłacono mu ile zażądał; Francya się z nim nie targowała: kto wykupuje wdzięczność pokoleń, może się nie targować — nie zapłaci nigdy za drogo.

Ale zaspokoiwszy podaną sobie likwidacyą usług, może słusznie czuć się swobodną od wszelkich innych względem niego obowiązków.

Treść Nr. 64.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.)

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.